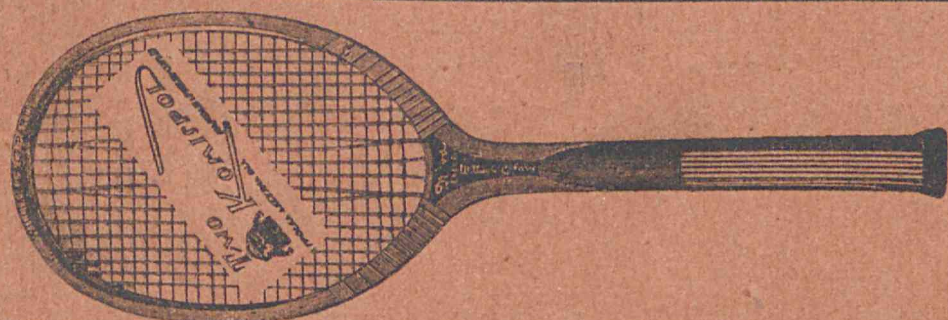
OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE



Rok XIX. WARSZAWA Dnia 26 kwietnia 1924 r. № 17.

Cena niniejszego numeru Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

Rok XIX. № 17 z dnia 26 kwietnia 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

Jak Polska otrzyma stabilizowanych urzędników

Specjalny wywiad „Świata" u prezesa Komisji Stabilizacyjnej p. sędziego Jana Kopczyńskiego.

Parlament nasz przedłużył o dalszy rok dotychczasowy dwuletni okres dla stabilizacji urzędników państwowych. Uchwała ta, powzięta przy sposobności załatwienia projektu noweli do pragmatyki cywilnej z 1922 r., wywołała zniecierpliwienie i komentarze wśród licznej rzeszy urzędników, którzy po kilkoletniej służbie państwowej radziby upewnić się co do swego dalszego bytu. Subjektywne te uczucia są niezawodnie uwagi godne. Z drugiej strony nie wolno jednak zapominać, że władze państwowe są odpowiedzialne za ostateczny dobór funkcjonarjuszów państwowych. Przed ukończeniem organizacji władz, dokonywanej pod kątem widzenia oszczędności i przed określeniem minimum uzdolnień potrzebnych do sprawowania wszelakiego urzędu, stabilizacja indywidualna pociągnęłaby za sobą ujemne skutki dla administracji.

Temi względami kierowany, prezes ministrów p. Grabski wyznaczył zaraz po przyjęciu przez parlament ostatniej noweli do pragmatyki cywilnej osobną komisję, która ma przygotować materjał do wydania potrzebnych zarządzeń wykonawczych. Przewodnictwo w komisji objął p. Jan Kopczyński, sędzia Najwyższego Trybunału administracyjnego, w skład komisji weszli p. p. Wacław Kinel, sędzia Najw. Tr. A., Bańkowski, radca województwa ze Lwowa, Greger, dyrektor Izby skarbowej w Krakowie, Lisicki, st. referent w Prezydjum Rady ministrów, i Szczawiński, szef sekcji Gł. Urzędu likwidacyjnego.

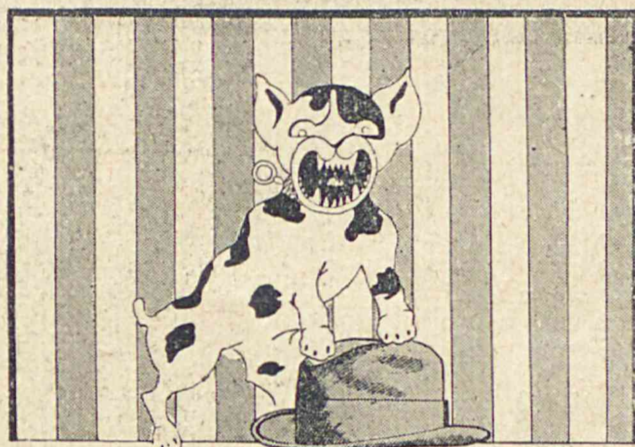
Chcąc otrzymać informacje o zakresie zadań i postępie prac komisji, zwróciliśmy się do jej przewodniczącego p. Kopczyńskiego, który z całą uprzejmością uczynił zadość prośbie.

Właściwe zadanie Komisji— według informacji udzielonych przez p. sędziego Kopczyńskiego —polega na opracowaniu wszystkich rozporządzeń przewidzianych w ustawie o państwowej służbie cywilnej, na przejrzeniu i ujednostajnieniu wszystkich rozporządzeń o egzaminach, wreszcie na sformułowaniu warunków o przyspieszenie stabilizacji.

O ile dwa ostatnie zadania nie przedstawiają materjalnie zbytnich trudności, o tyle pierwsze wymaga szczególnie pieczołowitego zbadania i rozstrzygnięcia.

Art. 11 ustawy z 17 lutego 1922 r. o państwowej służbie cywilnej dzieli stanowiska służbowe w urzędach na trzy kategorje, z których pierwsza wymaga wykształcenia wyższego, potwierdzonego złożeniem odpowiednich egzaminów, druga wymaga wykształcenia ogólnego lub zawodowego średniego, ostatnia poprzestaje na wykształceniu poniżej średniego. Art. 17 tejże ustawy wiąże z każdem stanowiskiem służbowem stopień oraz tytuł, określający właściwe czynności urzędowe.

Przewidziane we wspomnianej ustawie rozporządzenie Rady ministrów, które komisja opracowuje, ma zaliczyć poszczególne stanowiska w administracji państwowej do jednej z trzech kategorji wykształcenia, a następnie każdemu stanowisku wytknąć odpowiedni stopień i wy-



znaczyć tytuł urzędowy. Przy pracy tej Komisja ma do pokonania rozliczne trudności. Chodzi przecież o całokształt cywilnej administracji z jej różnorodnością zadań, dostosowanych do wymagań państwa nowoczesnego.

Wytkniętemu celowi najbardziej odpowiadać będzie opracowanie tabeli, która dla każdej kategorji wykształcenia wyznaczy odpowiednie pozycje w obrębie dwunastu stopni służbowych i ustali właściwe tytuły urzędowe.

W pierwszej kategorji wykształcenia projekt nie odbiega od praktyki dotychczasowej. Zamierza się wprowadzić jeden tylko, wznowiony zresztą tytuł referendarza, zamiast starszego referenta i referenta. Dla trzeciej instancji pozostają tytuły już obecnie używane, a więc: radca ministerjalny, naczelnik wydziału, dyrektor departamentu, podsekretarz stanu; w instancji drugiej i pierwszej z wyjątkiem stanowisk naczelnych: wojewoda, starosta, inne tytuły będą analogiczne do władz naczelnych.

Dla drugiej kategorji wykształcenia projektowane są tytuły: sekretarz, asystent, kontroler, skarbnik, księgowy, podreferendarz, naczelnik rachuby (X do VI stopień służbowy i t. d.); w trzeciej kategorji: rachmistrz, kancelista, archiwista, adjunkt, intendent, naczelnik kancelarji (XII—VII stopień służbowy) i t. d.

Przygotowania do ustalenia tabeli są w pełnym toku i dopiero po załatwieniu tej podstawowej części zadania będzie można sformułować ostatecznie opinję w zakresie stabilizacji urzędników.

Nie ulega wątpliwości, że osoby nowowstępujące do służby państwowej poddane zostaną rygorom pragmatyki i stabilizacja ich będzie uzależniona nie tylko od zadawalniającego odbycia praktyki, lecz także od zdania odpowiednich egzaminów praktycznych.

Inna rzecz z urzędnikami dotychczasowymi.



Jan Kopczyński.

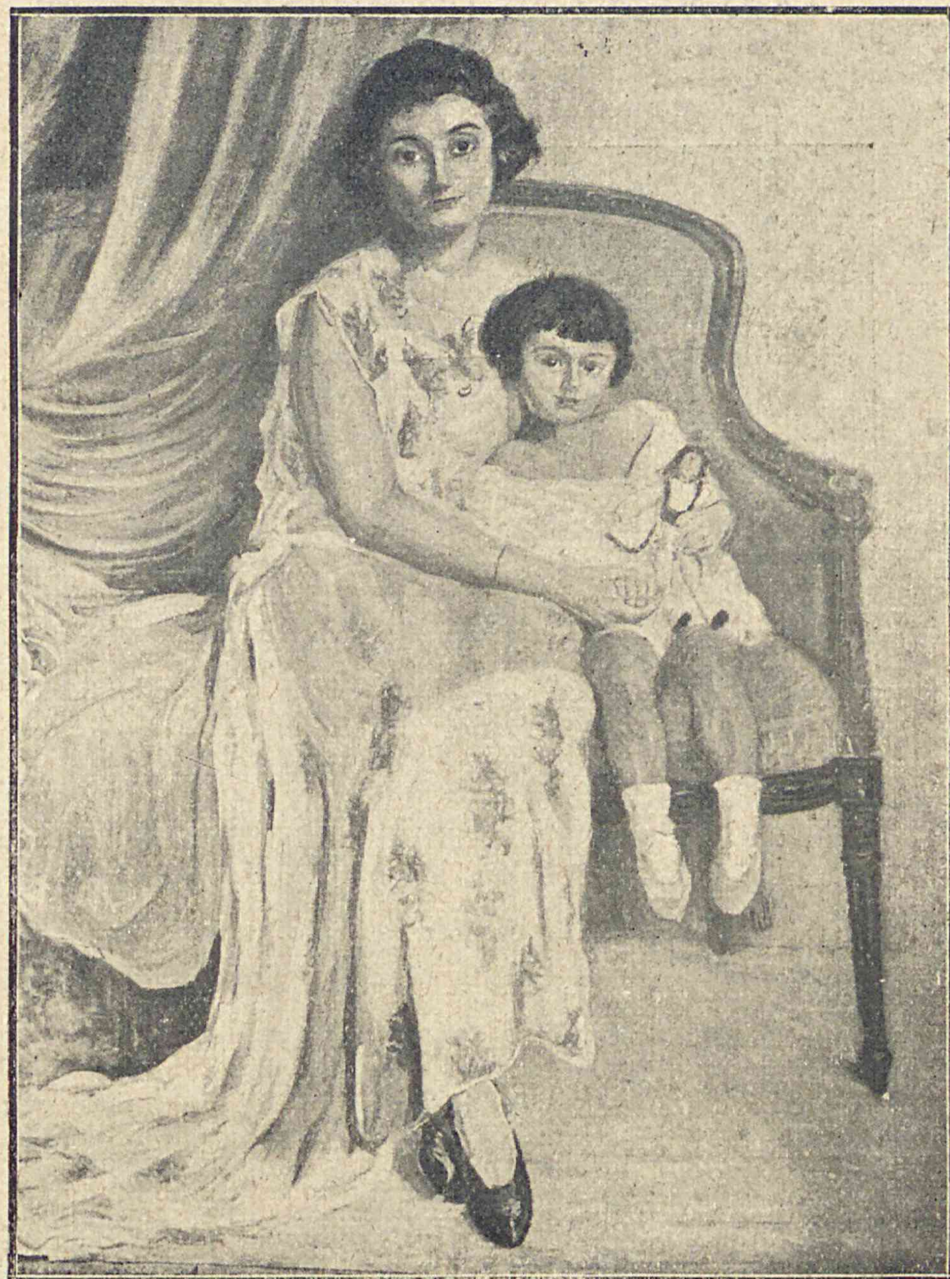
Wielu z nich, mimo braku kwalifikacji formalnych, pracowitością, pełną zapału i oddania, zdobyło w ciągu dotychczasowego urzędowania tyle doświadczenia, iż sprawują urząd z pożytkiem dla państwa. Wielokrotnie stosowane postępowanie kwalifikacyjne dokonało już zresztą pewnego doboru. Dla tej kategorji urzędników komisja zamierza zaproponować dla osiągnięcia bezzwłocznej stabilizacji ulgi, których charakter i rozmiary będą jeszcze poddane skrupulatnej rozwadze.

Wł. Bazylewski.

Prace Stanisława Niesiołowskiego.



St. Niesiołowski. Portret.



St. Niesiołowski. Portret pani R.

Galerja współczesnych malarzy.

Stanisław Niesiołowski.

Aby poznać malarza, należy się go na pamięć nauczyć. Trzeba umieć odczuć go, spotykać się często, zupełnie zżyć duchowo, dopiero można wtedy wydać sąd o jego twórczości.

Wszystko inne jest blagą, albo dyletantyzmem sprawozdawczym, niemającym żadnej racji i nie zasługującym na uwagę.

Jedną z możliwości poznania bliżej twórcy jest obejrzenie jego pracowni tam w tem kotle, gdzie się wciąż warzy duchowy dorobek malarza.—Tam łatwiej wyłowić możemy składowe pierwiastki twórczej istoty artysty, jak na wystawach, kędy często maszerują rzeczy stojące poza możliwościami jego aspiracji i istotnych uzdolnień.

Życie i sztuka, te dwa czynniki w egzystencji malarza, zbyt często stoją w kolizji, aby nie odbijały się w jego produkcji.

To, co nieraz widzimy w pracowni, wstydliwie zakryte przykurzonemi blejtramami, więcej daje nam pojęcia o uzdolnieniu malarza, jak medalowane, czołowe jego prace.

Tworzy się w ciszy — dla siebie przedewszystkiem.

* * *

W miłym zakątku, gdzie Niesiołowski pracuje, oglądamy cały szereg prac, wskazujących, że artysta zdobyte już walory malarskie coraz więcej umacnia. W portrecie dąży on do syntezy. Prócz realnego podobieństwa stara się dać duchowy konterfekt portretowanej osoby.

Dążenie Niesiołowskiego do zupełnego opanowania psyche malowanej osoby nie jest przypadkiem, ani wynikiem ostatnich lat pracy, — od pierwszych swych poczynań miał te same aspiracje, które obecnie pogłębiając zwiększył, uwypuklił, w regułę zamknął.



St. Niesiołowski.

Już przed laty kiedy namalował portret exc. Hausnerowej, dzieło, które jednogłośnie przedstawiono do nagrody — wszystkie cechy — streszczania się były widoczne, w oczach i geście całości portretowanej damy zmieścił tyle wyrazu i życia duchowego, że ktokolwiek widział to wybitne dzieło artysty — pamięta je po dziś dzień.

Z pomiędzy całego szeregu prac obecnie rozpoczętych w pracowni musimy wyróżnić kilka rzeczy, odrębnością swą mocno odcinających się od tego, co obecnie uchodzi za portrety — co oglądamy po rozmaitych salonach.

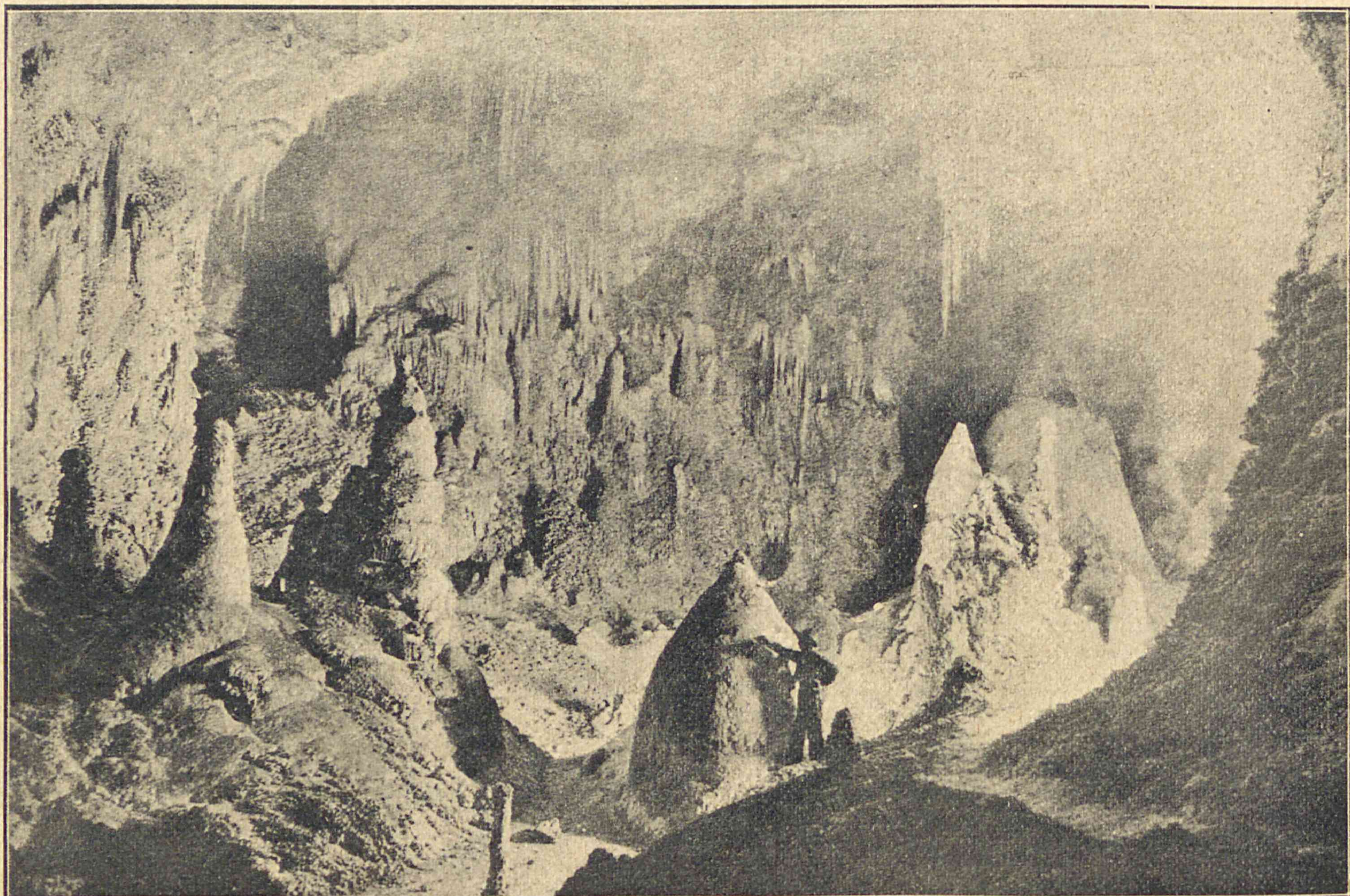
Portret pani: „R. z synkiem" to miła „sielanka rodzinna", dzieło szczerego natchnienia i sentymentu malarskiego.

„Młody człowiek w kostjumie Ludwik XVI" prowadzi nas w świat Gainsborougha, gdzie genjusz wielkiego klasyka stwarzał takie poematy, takie symfonje barw, nigdy już nie powtórzone żadnym pędzlem późniejszym.

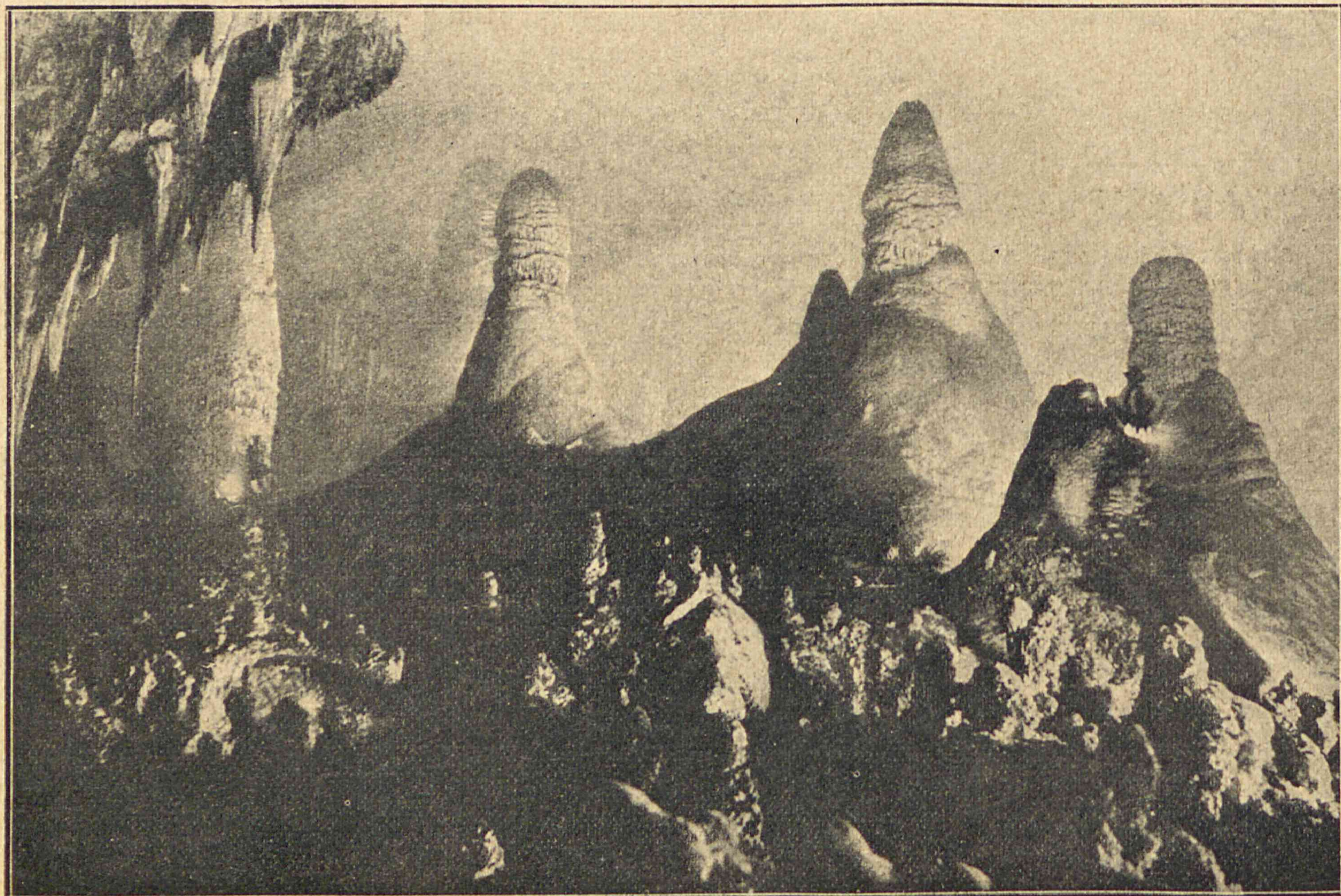
Każda z tych prac daje świadectwo, że talent Niesiołowskiego coraz większe ogarnia horyzonty, krzepnie i bogaci się — na chwałę swoją i sztuki naszej.

Władysław Wankie.

Największe i najwspanialsze jaskinie świata ogłosiła Ameryka narodową własnością.



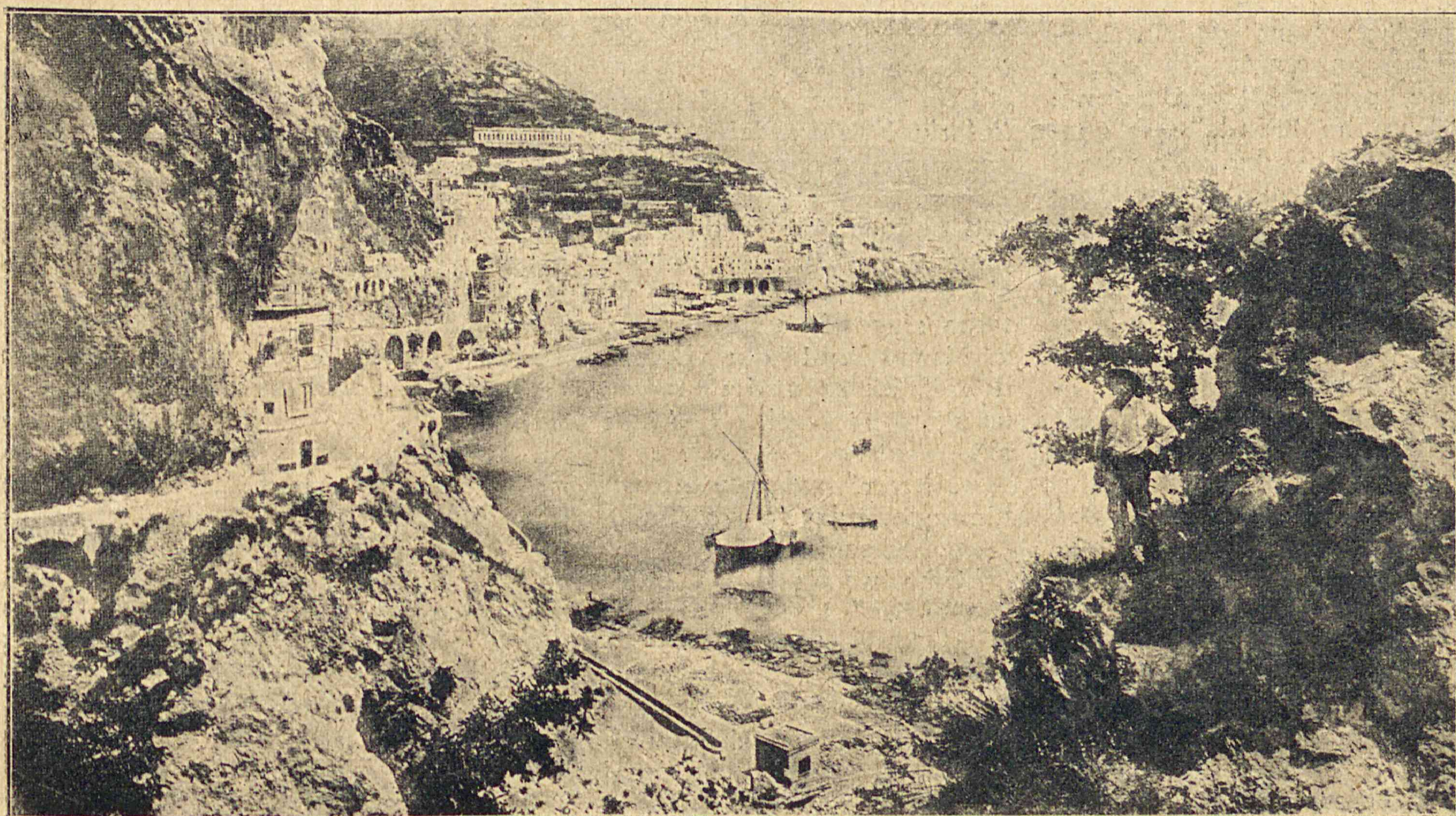
Jaskinia „Dch Kiva" w Karlsbadzie w Nowym Meksyku w Stanach Ameryki północnej, z którą wiąże się mnóstwo legend indjańskich jeszcze z epoki Apaszów.



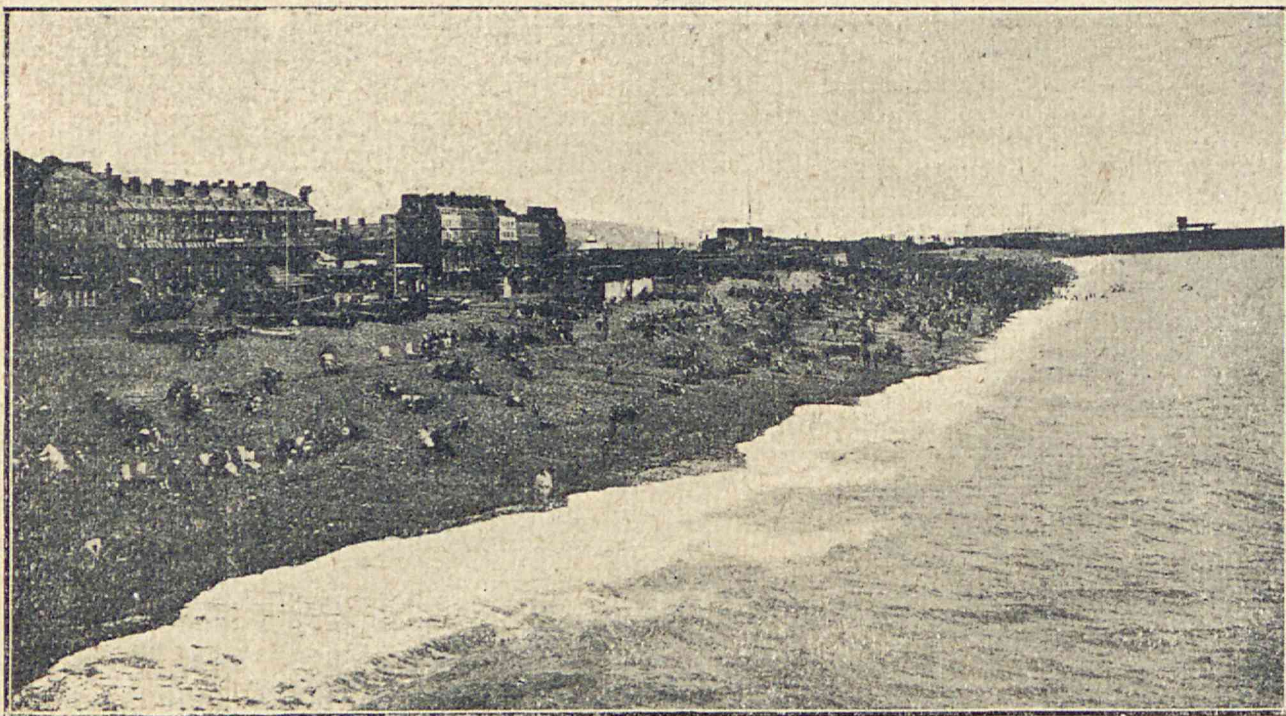
Olbrzymie stalagmity w wielkiej jaskini Karlsbadzkiej w Nowym Meksyku, utworzone, wedle zdania uczonych, w przedhistorycznych czasach przez osadzające się wapienie.

Nowe trzęsienie ziemi we Włoszech. Zburzone miasto portowe Amalfi. Sto osób zabitych.

Jeden z najpiękniejszych widoków Amalfi na port i morze Śródziemne. Ongii port Amalfi był bardzo uczęszczany i cieszył się większą frekwencją, niż Wenecja i Piza.



Malownicza terrasa w słynnym Klasztorze Kapucynów w Amalfi z widokiem na morze Śródziemne,



Modna miejscowość klimatyczna Folkstone.

HOLI-DAYS—W ANGLJI.

(Z wrażeń osobistych).

Korespondencja własna.

Spadło to na nas dość nieoczekiwanie. Mój „brothe--in-law" otrzymał nagle 20 dni na wyłączną swą własność. Bajecznie! Ani chwili nikt nie przypuszczał, aby je można było zmarnować na miejscu. — Radosne kąpiele nad brzegiem English-Channel, fascynujące sporty i konkursy w modnem Folkstone, wycieczki autem po przez „Garden-of-England", ukwiecone, bujnie zadrzewione hrabstwo Kent, słusznie zwane „ogrodem Anglji", — to wszystko dobre — na codzień Skoro mamy holi-days, trzeba wymyśleć coś— od święta.

W przeciągu paru godzin kursują depesze: zapytania do oberż, werbowanie przyjaciół. Ustalono: jedziemy „on the broads"—to znaczy na jezioro, na ryby. Przyszedł bowiem na te ostatnie nieszczęsny sezon.

Owe „on the broads" szczególnie są modne w południowo-zachodniej części Anglji w hrabstwie Norfolk.

Wszystko układa się jaknajlepiej: — pokoje zamówione w najlepszej rybackiej oberży; przyjaciele nie zawiedli, pogoda się ustaliła.

Cały dzień trwają gorączkowe przygotowania. Jak najmniej pakunków! — Musimy się przedzierzgnąć w skórę prawdziwych sportsmenów.

„Little-Rover" — (tak zwie się niewielki nasz samochód) dostał dwa nowiusieńkie, przednie koła. Jest cały „namaszczony" i lśniący od oliwy. Ma przebiedz nazajutrz 200 mil angielskich w przeciągu 12 godzin.

„Bonzo" — najrozkoszniejszy psi dzieciak — jedzie także. Będą to jego pierwsze kroki w świat szeroki.

Ranek jest prześliczny. Noc zmrużyła czarne oczy, dzień ciepły i pachnący, cały rozmarzony, na liljowo... Wyglądamy na zawodowych turystów. Pośrodku okrągłego trawnika, wprost szeroko otwartej bramy, stoi gotowy do skoku „Little Rover" — a dokoła cały dom.

Wszyscy są trochę zdenerwowani, mnożą się małe nieporozumienia, powodujące opóźnienie. Kuferków i walizek — okazało się za wiele... Próbują tak i owak; z jednej i z drugiej strony. Szwagier coraz bardziej wzruszony.

Na koniec, po wielkim wysiłku, kuferki i cała rodzina zostały umiejscowione, przymocowane rzemykami—przykryte pledami. Mam miejsce cudowne — z tyłu. Za sąsiada dano mi wysmukły kuferek, mogę się wygodnie oprzeć. — W nogach, tylko sięgnąć, ustawiono woreczek z biszkoptami dla Bonza (wcale dobre!) i koszyczki z bananami, śliwkami, gruszkami. Słownik angielski — obok.

„Rover", udający dotąd głuchoniemego, odzywa się donośnym głosem. Ruszamy...

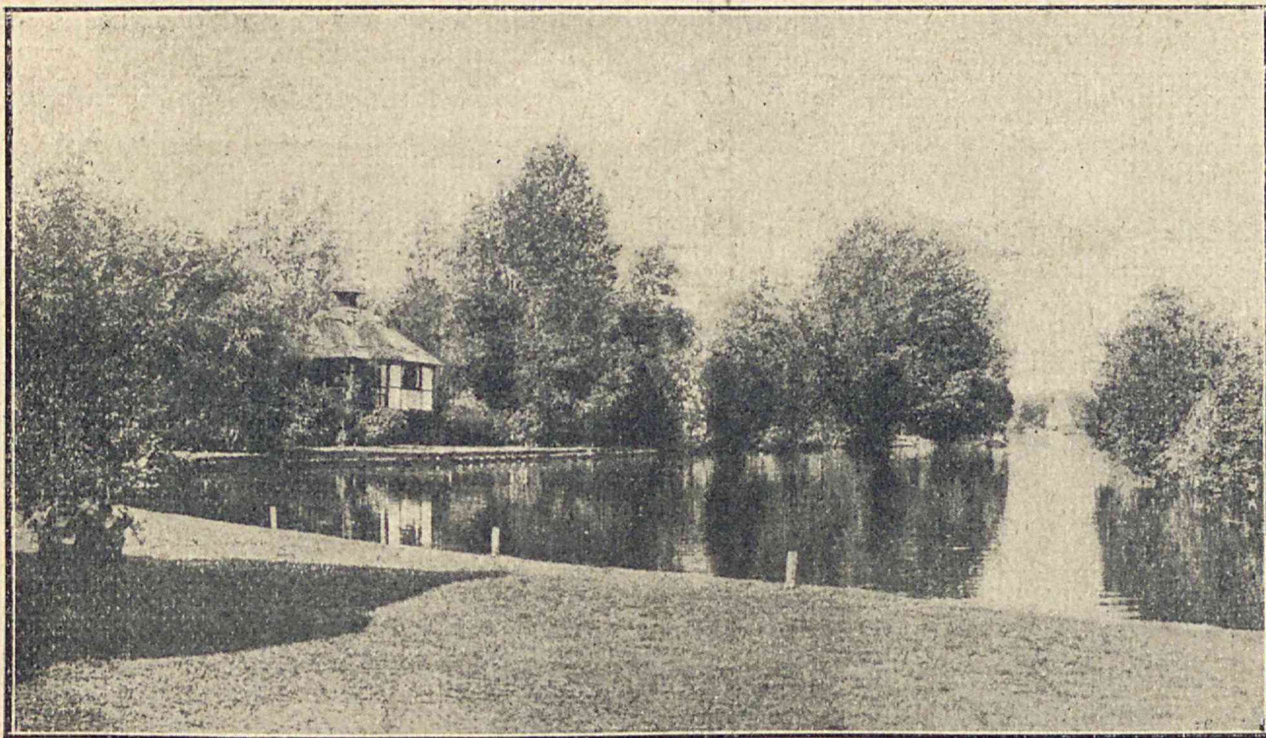
Sztywny John, wysznurowana jak osa „miss" i stary, oparty na „maszynie" do strzyżenia trawy ogrodnik silą się na przyjemny wyraz twarzy. Opasły, poważny kot Tommy usiadł w samym środku ponsowej pelargonji wysoko na ganku i patrzy na nas pogardliwie. — Bonzo tryumfuje...

W tumanach kurzu niknie biała willa, opleciona fioletowemi, płaskiemi kwiatami Clematis'u i bujnie zakwitającemi, różowemi różyczkami; strzyżone zielone trawniki, kolumny, kule misternie wycięte z krzewów nikną wreszcie i dwa dziwne, rozkraczone, jakby na straży stojące drzewa, które zamiast liści mają poplątane*) gałęzie, najeżone kolcami „Monkey puzzler". Wszystko zostało poza nami. Pędzimy, trąbiąc przeraźliwie. Mijamy błyskawicznie nasze miłe miasteczko Hythe. Jest bardzo, bardzo sędziwe, bo aż z 8-go wieku. Małe piętrowe domki, spowite w pnące się różyczki (kwiat narodowy Anglji), otoczone ogródkami z małemi oszklonemi cieplarniami. Nieraz cała ulica składa się z szeregu takich domków. Jestem pewną, że i wewnątrz urządzone być muszą tak samo—jednostajnie. Inne, większe wille porywają oczy lekką i kapryśną architekturą i artystycznie utrzymanemi parkami. Mijamy i Crypt, czyli kapliczkę, która ma formę groty i wypełniona jest aż po sklepienie trupiemi czaszkami. Te czaszki ułożone równiutko, jak lśniące melony na półkach owocarni — jedna koło drugiej — w piramidki. A wszystkie są tak podobne do siebie! Brzydkie czy piękne, młode czy stare, męzkie czy kobiece! Na glinianej podłodze tak samo równiutko ułożono piszczele nóg i rąk. Niesamowity pomysł i za nic bym do Crypt nie weszła w nocy!

Lecimy teraz wprost w morze!! Rozpłaszczyło się przed nami szeroko! Słone, mocne zapachy śle nam w lica. Morze rano jest łagodne, lazurowe i jak kryształ przezroczyste. — Na prawo kędyś rozlewa się Atlantyk, na lewo nieprzyjazne, burzliwe Morze Północne, a wprost nas w pogodny, jasny dzień widać brzegi Francji. W nocy daleko, daleko zapalają się punkciki latarni morskiej w Boulogne.

Mijamy Country-towns, przykucnięte nad brzegiem English-Channel miasteczko. Oto Sandgate, skromna, nie bijąca na efekt plaża morska, to znów Dymchurch. Na brzegach stoją, niby zabawki przywiezione z Londynu, małe bungalows, domki leciutkie, lilipucie. Swoboda tu pełna. W słoneczne czy pochmurne dnie — całe procesje w kąpielowych płaszczach i tłumy dzieciaków.

*) Drzewo zwane „kłopot małp", jedyne, którego małpy unikają, przesadzone na grunt angielski z Australji.



Topowa angielski „bungalow".

Jeszcze parę chwil i jesteśmy w Folkstone, najdroższej i najmodniejszej stacji klimatycznej „Wielki świat". Wspaniale, z europejskim przepychem urządzone hotele, restauracje. Na plażach symfoniczne koncerty, promenady i tualety przywiezione wprost z Paryża czy Londynu. Kina, teatry, dancingi — ulubione miejsca wywczasów amerykanów i francuzów. Folkstone—Boulogne, najkrótsze połączenie z brzegiem francuskim (30 mil angielskich — w przeciągu 3—4 godzin).

Przelatujemy wkońcu plac okrągły, biały, na środku którego stoi wysmukła kolumna — pomnik wielkiej wojny. Tu, przez to miejsce, tą drogą przedefilowało 10.000.000 żołnierzy angielskich, udając się najkrótszym i osłoniętym kanałem na kontynent lub wyspy kolonjalne. U stóp kolumny leżą bez przerwy najrzadsze okazy kwiatów dla tych, którzy do domu już nie wrócili. Lubię bardzo ten plac okrągły, biały, wprost rozszalałego żywiołu, otwarty na szał morskich wichrów i ten obelisk strzelający w niebo. I lubię, na chwilę zmrużywszy powieki, wyobrazić owe przemarsze miljonów mocnych, mężnych, wyćwiczonych ludzi; owe węże posuwające się prędko, połyskujące w słońcu gwiazdkami i orężem, posuwające się w stronę Dover tuż za Folkston'em, posiadającem fortecę i wspaniały port.

Dover-Calais to znów najkrótsze połączenie wyspy trzeźwego Albionu z brzegiem belgijskim. Zaledwie 22 mile angielskie — w niespełna 2 godziny. Przestrzeń ta oddawna stała się terenem zapasów sportu pływackiego. Pierwszy, który ją przebył, był Captain Web w 1875 r. W tym roku rekord pobił Amerykanin Harry-Sullivan. Zniesiony nawet prądem i zmuszony naddać drogi, przepłynął kanał w 23 godziny. Kobiety, naturalnie także, wyruszały niejednokrotnie, lecz po kilku godzinach wyciągano je na łódki.

Gdy tak jedziemy brzegiem pogodnego dziś English-Channel, gdy oczy z rozkoszą zatrzymują się na zalanych słońcem, złocistych plażach, barwnym tłumie kąpiących się i bungalows, gdy wszystko jest takie radosne, niefrasobliwe, zapominamy zupełnie o innych dniach, które tak często tu goszczą, gdy gęsta mgła wciska się w każdy kąt; gdy kanał zaczyna powtarzać, jak echo, rozszalałe na oceanach burze; gdy urwane z łańcuchów huragany pędzą po obszarach, jak wściekłe psy; gdy zapłoną i w dzień białe światełka latarni morskiej; gdy oszalałe bałwany plują pianą, przeklinają i grożą; — gdy nikt się nie kąpie, a tysiące par oczu patrzą niespokojnie w stronę groźnego żywiołu — gdy padną naraz głuszone rykiem fal — wystrzały armatnie ze statku wzywającego o pomoc. Gdy błyskawicznie od willi do willi—po całem country-town, po całem wybrzeżu—idzie groźny szept: „statek tonie, statek wzywa pomocy!"—Tak... wszystko to było nawet kilka dni temu—w czasie piekielnej burzy — lecz dziś nikt nie wspomina, ani o tem myśli, bo dziś jest słońce, złoty blask, ciepło promieni i radość istnienia.

Wydostajemy się wreszcie w labirynt krzyżujących się dróg. — Są wspaniałe — żwirowane lub lane asfaltem, wijące się jak wstęgi we wszystkich kierunkach. A dokoła przepych przyrody: soczyste, pachnące łąki, zboża o urodzajach przedziwnych; podłużne lusterka kanałów, białe plamy pasących się owiec oraz tajemnicze rumowiska starych zamków feodalnych

Hrabstwo Kent, to przepyszny, ukwiecony sad, ciągnący się na kilkadziesiąt mil wzdłuż i wszerz. Zamiast dumających smętnie po miedzach, jak w Polsce, — grusz — samotne giganty-dęby, rosnące swobodnie na zielonych polanach.

Co kilka mil—wioska, a właściwie miasteczko, — country-town — lecz jakież niepodobne do naszych mieścin. Przedewszystkiem uderza w oczy jaskrawa płachta szyldu: Garaż—a za okazałą witryną widzi się wszystkie przyrządy do elektrycznej lokomocji. Domki piętrowe, okna rozsuwane, sypialnie na górze, wszędzie oczywiście wanny i elektryczność. Przygniatająca cywilizacja — porządek i ład. Mija się te wioski co parę kwadransów — a tak są do siebie podobne, jak rodzeństwo jednej wielkiej rodziny. Wszystkim tu musi być zdrowo i wygodnie.

Nędza i brud czai się w miastach i portach. Tu, bliżej przyrody, nie widzi się tego. Nie spotkałam ani jednego nędzarza w łachmanach, ślepego czy kalekę, proszącego o jałmużnę, a wszak na krętych dróżynach ludzi, jak mrowia.

Mijamy stolicę hrabstwa Kent— prześliczne miasto Maidostone, jeszcze kilkanaście mil i dobijamy do Tamizy, zawalonej statkami, okrętami, barkami. Istny las masztów. Daleko, bardzo daleko na lewo we mgle słonecznej majaczy Londyn. Przelatujemy czarną ścieżkę tunelu — i jesteśmy w porcie.

Tu dopiero opada nas banda obdartych urwisów i starych wyg, żebraków. Chciwie, łakomie obserwują każdy samochód. Wjeżdżamy na pomost, w kolejce wozów — na olbrzymi statek, służący jako prom— i stop! Stanęliśmy w równym szeregu, w miejscu oznaczonem. Za parę kwadransów będziemy na drugim brzegu.

Ruch, jak na ulicy. Kolosy-statki przesuwają się bliziutko. Załogi porozumiewają się ze sobą, starając się przekrzyczeć gwizdawki, świst i poryki wielkich kominów. Suną powoli całe gmachy piętrowe, zapchane ludźmi. Kolosy te przybywają z Indji, Afryki, Japonji. Wiem dobrze, że nigdy, nigdy nie dotrę do tych pociągających, jak bajki, krajów, niech więc się przypatrzę uważnie, jakie twarze, oczy, spojrzenia mają ci właśnie, którzy stamtąd przybywają... Bonzo - dostaje nerwowych dreszczyków. Na razie rzuca się w pasji z ujadaniem najsurowszem w stronę płynącego domu, zdaje się tuż, tuż na nas, po chwili jednak milknie, kuli się, i zaczyna piszczeć żałośnie. Przypuszczam, że się boi.

Londyn *H. Skarbek.*

(c. d. n.)

Echa procesu Hittlera.



Jeden z wodzów nacjonalizmu niemieckiego, gen. Ludendorff, opuszcza wśród owacji gmach sądowy w Monachium.

Nacjonalizm niemiecki i jego przechwałki.

Korespondencja własna.

Dnia 4 maja odbędą się wybory w Niemczech. Nie ulega wątpliwości, że wypadną one monarchistycznie, nacjonalistycznie, że zastępy zwolenników Hittlera, Ludendorffa i idei odwetu staną zwartym szeregiem przy urnie wyborczej. Kto miał jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, tego przekonać muszą wyrok monachijski i rozmowy, jakie się słyszy w podróży do Niemiec dzisiejszych. Obok obelg, wyrazów nienawiści i rubasznej ironji pod adresem ententy, a z większą jeszcze złością kierowanych pod adresem „niewdzięcznych" Polaków, brzmią pogróżki i zdania, które albo są płodami chorej fantazji i bezsilnej złości, albo też naprawdę niebezpieczeństwem. Na różne takie niebezpieczeństwa wskazywała już wprawdzie prasa francuska i angielska, ale poważne pisma niemieckie i angielskie, sprzyjające Niemcom, zbyły te „rewelacje" lekceważeniem. Nacjonaliści niemieccy kierunku „völkisch" nie kryją się z tem, że gdyby weszli znów do kraju nieprzyjacielskiego, słynne powiedzenie Wilhelma „Pardon wird nicht gegeben— Gefangene werden nicht gemacht" — stanie się czynem.

W pociągach słyszy się ciągle powiedzenia, które jaskrawo świadczą, że Niemcy w tej strasznej wojnie i po niej niczego się nie nauczyły, niczego się nauczyć nie chcą i że wady, które ściągnęły na nich nienawiść całego świata, jeszcze się możliwie spotęgowały.

„Gdy wejdziemy do Francji—powiada jeden z podróżnych — nie opuścimy jej, póki pozostanie jeden Francuz".

„Ja — oświadcza długa jak tyka Niemkini o błędnym wyrazie oczu — „pójdę do Polski z batem i mścić się będę okrutnie".

Zwracam jej uwagę, że jestem Polką, a na to sypie się stek obelg pod adresem Polaków, zakończony słowami: „Das waere noch schoener, wenn ich in Deutschland auf die Polen nicht schimpfen koennte".

Jakaś cicho dotąd w kącie siedząca pani odzywa się, że kolej nie jest miejscem dla dyskusji politycznej.

„Jestem Niemką, jestem patrjotką, powiada, ale takie napaści są mi niesympatyczne".

W odpowiedzi nastąpiło już ze strony nietylko długiej Niemkini, ale siedzącego obok mnie młodego człowieka w okularach (inżyniera, jak się potem okazało) długie wyliczanie „krzywd" wyrządzonych Niemcom, ich zalet nieuznanych i nadziei, że blizka przyszłość znów postawi Germanję na należnym jej piedestale.

„Godzina zemsty blizka, a środki, któremi rozporządzamy, są straszne".

I nie bacząc, kogo ma przed sobą, inżynier na wyścigi z ową długą furją niemiecką wyliczają owe, jeżeli istnieją nietylko w ich fantazji, rzeczywiście straszne środki. Słyszy się o falach iskrowych, które każdy samolot strącają z najwyższych sfer na ziemię, które na odległość dziesiątków mil wysadzają każdą prochownię, każde działo w powietrze, które każdy samochód, każdy pociąg zmuszają do zatrzymania. Słyszy się o gazach, przed któremi nie ostoi się żadne życie ludzkie, zwierzęce lub roślinne, po których zostaje tylko goła pustynia; słyszy się o żywności chemicznej, która każdą blokadę czyni bezwartościową. Słuchającemu stają włosy na głowie. Wierzyć—nie wierzyć? Wierzyć nie potrzeba, ale żeby być, jak Anglicy powiadają, „on the safe side" (po bezpiecznej stronie), powinniśmy jako sąsiedzi tych przynajmniej w większej części „tak miłych Niemców" starać się o jak największe podniesienie sztuki obrony kraju.

Obok pragnienia rewanżu przepełnia dusze Niemców pragnienie restauracji monarchji.

Nie w wielkich miastach o ludności robotniczej i pacyfistycznej, nie w Berlinie należy szukać ognisk i źródeł monarchizmu. Kryje on się w miastach i miasteczkach prowincjonalnych, na wielkich dominjach junkrów, przedewszystkiem w całej pruskiej Marchji.

Pod samym Berlinem w Poczdamie i w jego licznych zamkach i pałacach śpi, niby w zamku zaczarowanej księżniczki z bajki, cały aparat dawnego monarchistycznego i wojskowego regime'u. Tu mieszkają synowie Wilhelma, a przedewszystkiem Eitel Friederich. Tu obecnie bawi w gościnie i cicho, by nie narazić się Entencie, przyjmuje hołdy Kronprinz, tu jeszcze wszystko zaczyna się od słowa „Hof"— nadworny. Tu są zarządy majątków „nadwornych" i koronnych. Tu istnieją „nadworni" piekarze, krawcy, ogrodnicy etc.

W lecie okręty z Wannsee przywożą turystę; teraz jeszcze okręty nie kursują, więc kolej wzdłuż nowego toru wyścigowego automobilowego wozi pielgrzyma do relikwji niemieckich, do małego schludnego miasta nad Hawelą. Niegdyś twierdza słowiańska Poztupimi, rozkwit swój i sławę zawdzięcza Fryderykowi Wilhelmowi I „Wielkiemu" Fryderykowi, — Fridericus Rex, — temu narodowemu bożyszczu Niemiec, który pogardzał Niemcami i zbudował owe śliczne barokowe cacko Sanssouci na wzór Wersalu. Pod pomnikiem Flory wybrał sobie swoje przyszłe miejsce spoczynku. „Quand je serais la, je serais sans souci". Ale następca jego nie chciał go pochować obok ulubionych chartów i Fryderyk spoczywa razem z ojcem w kościele garnizonowym w Poczdamie.

Od czasów Fridericusa wszyscy jego następcy jakimś budynkiem, kościołem, zamkiem czy pałacem, a bodaj tylko koszarami, przyczyniali się do rozwoju Poczdamu, tej drugiej rezydencji królewskiej a później i cesarskiej. Tu w zamku przychodzili na świat wszyscy Hohenzollernowie, w Charlottenhof spędzali miesiące miodowe, z Nowego Pałacu wydawali swoje ukazy, a na wieczny spoczynek kładli się w jednym z kościołów. Tylko Fryderyk, ojciec Wilhelma II, i jego żona Angielka wraz z dwoma wcześnie zmarłymi synami spoczywają w osobnem na ten cel zbudowanem mauzoleum, a przewiezione z Doorn zwłoki Augusty w „Greckiej" świątyni.

Na każdym kroku ślady, że Poczdam był właściwą kolebką militaryzmu pruskiego.

Poczdam i Sanssouci śpią obecnie snem podwójnym. Spóźniona wiosna opóźniła koniec snu zimowego. Marmurowe bożki i boginie wyłaniać się dopiero poczynają z drewnianych osłon, zamknięte fontanny nie szemrzą. Cicho dokoła, słychać tylko monotonne głosy przewodników, oprowadzających turystów, i pielgrzymów, którzy nabożnie słuchają opowieści o niedawnej świetności i nawiązują do niej nadzieje jeszcze świetniejszej przyszłości. Carillon z wieży kościoła Heiligenkiche wydzwania melodje „Chwalcie Pana" lub „Zawsze wiernie i uczciwie". Pielgrzym słucha dźwięku, nie zastanawia się nad znaczeniem słów. W myślach pogrążony wychodzi z bram parku i dobywa sakiewki, by kupić święta pamiątkę z Sanssouci. Fotografje: Kronprinza, jego rodziny, „pustelnika" z Doorn i pierwszej jego żony, albo obrazki przedstawiające Fryderyka „Wielkiego", zaopatrzone w sentencje... dobrej wróżby, ciesz ją się niesłychanem powodzeniem.

Tradycja monarchizmu trwa, umacnia się.

Berlin. *St. G.*



Ćwiczenia polskich studentów w Kurytybie, w głębi budynek szkoły polskiej.

POLSKA KURYTYBA.

Korespondencja własna.

Kurytyba jest miastem, które swym zewnętrznym wyglądem nie usprawiedliwia swego położenia w głębi Brazylji. Równe, ładnie brukowane ulice, szerokie place ze starannie utrzymanemi plantacjami, pomniki, wielkie sklepy — wszystko to przypomina raczej jakieś miasto zachodniej Europy, aniżeli stolicę stanu, którego trzy-czwarte obszaru pokryte jest niezbadanemi puszczami, zamieszkałemi przez indjan i tapiry.

Również i ludność, przewijająca się w blaskach pozwrotnikowego słońca, zewnętrznie raczej wygląda na mieszkańców południowej Francji lub Włoch, niż na znanych z obrazków brazyljan.

Wspaniałe wystawy sklepowe prezentują najnowsze mody paryskie. Eleganccy „senhores“ i „senhoritas“ z głębokiemi cudnemi oczyma niczem nie różnią się od międzynarodowej publiczności Nicei czy Monte Carlo.

Tylko czasem przez ulicę przesunie się w malowniczej szacie, w kapeluszu z wielkiemi kresami i długim rewolwerem za pasem półdziki kaboklo, mieszkaniec lasów. Czasem ujrzy się wysokiego gaucza ze stepów w szerokich bombaszach z ogromnemi, brzęczącemi ostrogami i chustce na szyi. Czasem równemi kostkami wykładana ulica zadźwięczy pod kopytami koni malowniczo ubranych jeźdźców i znów przewija się tłum szary, nic nie mówiący, międzynarodowy.

Naprawdę międzynarodowy. Obok jasnych twarzy teutonów i słowian widać pociągłe oblicza włochów, portugalczyków i hiszpanów, olbrzymie nosy syryjczyków, którzy aż z dalekiej Azji Mniejszej za chlebem tu przywędrowali, czarne twarze afrykańskich murzynów, poniewoli jeszcze za czasów cesarstwa sprowadzonych, czasem przesunie się mały skośnooki japończyk z nadmorskich kolonji lub olbrzymi reprezentant krainy Wuja Sama, który przybył tu robić wielkie interesy.

A wpośród tych tysięcy ludzi zdecydowanej rasy widzi się niezliczone mnóstwo wszelkiego rodzaju mulatów, metysów, terseronów, kwarteronów — potomków czarnych niewolnic i białych panów, czerwonych branek z białymi conquistadorami, miedzianych wojowników z portugalskiemi dziewczętami i wszystkich ich potomków zmieszanych razem w jakiś przedziwny konglomerat. Najrzadziej można tylko spotkać autochtonów tej ziemi — indjan.

Na ulicy dominuje język brazylijski, czasem doleci ucha dźwięk polski lub niemiecki. Na szyldach napisy w języku krajowym, gdzieniegdzie widzi się napis niemiecki, rzadziej polski lub syryjski. Miasto sprawia wrażenie wybitnie brazylijskie.

Lecz to tylko wrażenie.

Mijamy ślicznie urządzony plac generała Osorio. Napozór nic nam nie mówią wyniosłe palmy, agawy i ładne pomniki, lecz to tylko dla nieświadomego widza. Pomnik sławnego parańskiego poety Emiliano Pernetta żadnych wspomnień nie wzbudza w polaku, lecz pomnik ten to dzieło polsko-parańskiego artysty Jana Żaka, który choć pod narzuconem mu w młodości nazwiskiem João Zaco do Paraná ukryty, tym nie mniej uważa się za polaka i polskie serce posiada.

Poważne kamienne domy na rogu ulicy Voluntarios da Patria niczem nie zwracają uwagi obcego

przechodnia, lecz domy to dobrych patrjotów polskich. Tam znowu szyldzik ukryty „reperacja obuwia...“ I ta mała tabliczka za dalekiemi morzami jest dziwnie wymowna.

Największa ulica Kurytyby, rua Quinze de Novembro, pełno sklepów, biur, banków, wszędzie język portugalski, lecz niemal na każdym kroku napotykamy napisy: *Kasprowicz... Gradowski... Wojski...*

Olbrzymi gmach na ulicy Marechal Floriano Peixoto, w nim biura zapełnione urzędnikami — bank niemiecki. Cóż może być bardziej obcego dla polaka, jak niemiecka instytucja? Tak, instytucja jest niemiecka, lecz dom należy do naszego rodaka. Zewnętrznie nic o tem nie świadczy, mimo to na każdego pierwszego niemieckie milrejsy płyną do polskiej kieszeni w brazylijskiej Kurytybie.

Tam znowu polska chorągiew powiewa na polskiej szkole lub polskiem towarzystwie, tu napis „Redaccão do Swit“, tu tabliczka „Dr. Kossobudzki“, „Dr. Szeligowski“ lub szyld wielki „Pharmacia Poloneza“. W restauracji dostanie się piwa z browaru „Polonia“, w wielu sklepach można rozmówić



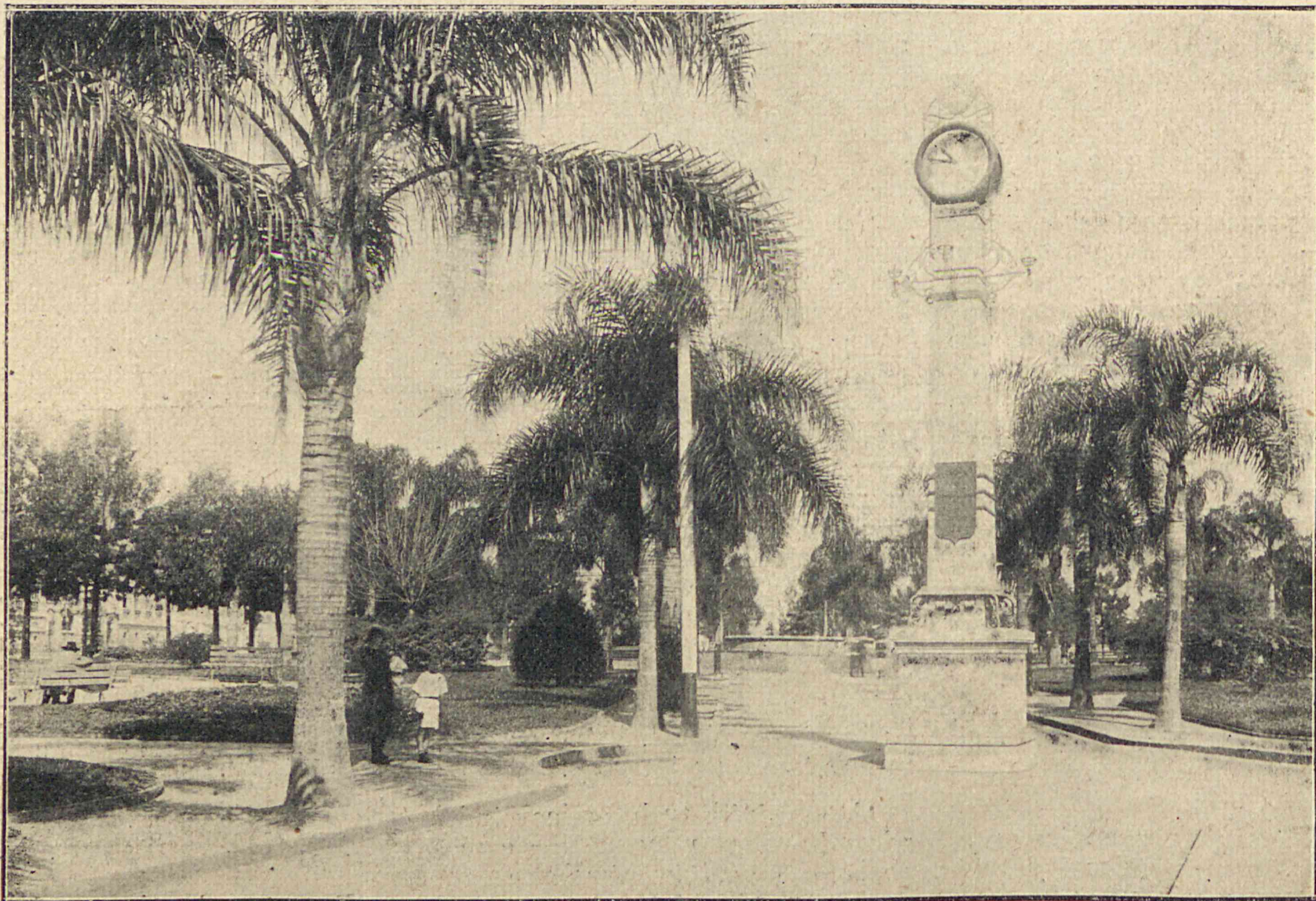
się po polsku, w dziennikach na każdym kroku spotka się poprawnie pisane nazwiska polskie, ogłoszenia firm polskich. W domu służąca poda herbatę z marką „Orzeł Biały“.

Kurytyba jest brazylijską tylko nazewnątrz. Tak, jak splątana puszcza dziewicza zbliska ukazuje nam całe bogactwo przeróżnych odcieni i tonów, z oddali zdających się jedną zielenią — tak i stolica Parany po najlżejszem starciu pokostu krajowego ukazuje nam dziwny zlepek przeróżnych dów i to zlepek bardzo mało lony.

Kilkutysięczna kolonja polska znika niemal w gwarze ulicznym, lecz dość przyjść w niedzielę przed kościół Św. Stanisława i ujrzeć ogromny tłum rodaków, w skupieniu słuchający polskiego kazania, na obchód jakiegoś święta narodowego do któregokolwiek towarzystwa, dość przejść się po redakcjach licznych pism polskich (Swit, Lud, Gazeta Polska w Brazylji, Przyjaciel rodziny, Sportowiec Polski, Nasze Życie, Swiat Parański), lub odwiedzić tętniące życiem sekretarjaty potężnych związków, aby ocenić wartość dla dalekiej ojczyzny tego wiernego ludu, rzuconego na drugą półkulę świata i broniącego usilnie swego narodowego ja.

Kolonja nasza w Paranie jest inną niż gdziekolwiek bądź indziej. Nie jest tymczasową emigracją — jest nowym polsko-parańskim narodem. Tak jak północny amerykanin nie jest anglikiem, a brazyljanin portugalczykiem, tak i polak parański jest polakiem tylko sercem, pozatem świecą mu inne, szersze dla sprawy narodowej horyzonty.

M. B. Lepecki.



Plac generała Osorio w Kurytybie.

Z Kamerunu do Kairu.



Sułtan kraju Ngaundere w uroczystym pochodzie spieszy powitać francuskiego podróżnika.

Podróż przez nieznane jeszcze krainy. Z Kamerunu do Kairu.

W paryskiej Sorbonie zdawał niedawno sprawę przed uczonem gronem francuski badacz Bruneau de Laborie ze swej podróży z Kamerunu do Kairu poprzez drogi, po których nigdy jeszcze nie stąpała stopa białego człowieka. P. de Laborie odbył tę wyprawę w roku ubiegłym, kierując się z Kamerunu ku jezioru Czad a następnie ku pustyni Libijskiej. Olbrzymie te przestrzenie są wprost niedostępne w pewnych porach roku i trzeba było bardzo przezornie obierać właściwy czas, inaczej bowiem groziłaby wyprawie nieuchronna zagłada. Mimo, że uczony francuski kierował się wskazówkami, jakich życzliwie udzielała mu tubylcza ludność, wyprawa niejednokrotnie napotykała trudności, musiała walczyć z groźnemi niebezpieczeństwami, zwłaszcza podczas wylewów rzek miejscowych.

Ludność tubylcza w ciągu całej podróży odnosiła się do dzielnego podróżnika bardzo przyjaźnie. Nawet te szczepy, które zazwyczaj wrogo witają każdego białego, tym razem objawiały zdumiewającą łagodność. A podczas swej wędrówki uczony francuz spotykał się z niebylejakimi dostojnikami. Tak np. w oazie Kufra przyjął go na uroczystej audjencji naczelnik szczepu Senussich, Sidi Mahomet, który jest postrachem nawet odległych okolic. — Władca rozległej krainy Ngaundere przyjął p. de Laborie z niezwykłemi honorami.—W innych osadach na głos tamtamu zbiegała się cała miejscowa ludność, aby witać niezwykłego gościa.

Rezultatem wyprawy jest bogaty materjał, zebrany przez uczonego, a odnoszący się do geografji, etnografji, stosunków społecznych i politycznych wie'u obszarów, dotąd całkiem jeszcze nieznanych. Olbrzymi zbiór fotografji uzupełnia zebrane notatki i umożliwia nauce wypełnienie braków, które były dotychczas niejako białą kartą w dziełach geograficznych.

Zasłużonego badacza uczciło francuskie Towarzystwo Geograficzne złotym medalem. *S.*



Dzielnica kobieca w osadzie Lèré.

Żywe źródło mądrości helleńskiej.

Djalogi Platona o Sokratesie.

Już ze szkolnej ławy przechowujemy w pamięci czar platońskich djalogów. Jest to jednak nieokreślony zachwyt, przekazany nam raczej przez tradycję, niż przez własne przeżycie. Nie wszyscy przecież studjują od podstaw filozofję grecką. Nie wszyscy mają czas, by z poza helleńskich tekstów wyłowić wiecznie przekornego, młodego, zadzierzystego ducha sokratycznej metody dociekania prawdy. Nie każdego też stać na sprytną potulność greckiego filozofa, absorbującego patentowanych mędrców pytaniami i tylko pytaniami. Pytania te stają się dokuczliwe, ośmieszające, unicestwiające. Z poza nich wygląda mądra maszkara uśmiechniętej głowy Sokratesa. Uśmiecha się, bo wie, że nie wie. Jest spokojny. Nie pójdzie na tani wybieg sprzeczny z jego honorem. Nie cofnie się przed kielichem nawet niezasłużonej kary, bo... prawo w państwie musi być szanowane. Platon mędrcowi temu poświęcił dziesięć swoich djalogów, przechowujących na wieczność mądrość ateńskiego satyra, który wydźwignął duszę swoją przez myśl na podjum bohaterstwa.

Djalogi te ukazały się obecnie w polskiej, bogatej szacie. Przełożył je prof. dr. Władysław Witwicki. Zbliżył do nas przez to tak postać Sokratesa, jak i Platona. Umożliwił, iż żyzne ziarno wiecznej mądrości greckiej zakiełkować może bez specjalnego zachodu w każdej polskiej głowie. Praca ta trwała lat kilka. Mamy obecnie wyrzeźbione w słowie lechickiem djalogi: Ucztę, Gorgjasza, Fajdrosa, Protagorasa, Hippjasza mniejszego i większego, Ijona, Eutyfrona, Obronę Sokratesa oraz Kritona. Każdy z djalogów prof. Witwicki objaśnia wstępem i uzupe nia posłowiem, by czytelnik polski nie uronił nic z piękna, ważkości i historyczności tych sokratesowych rozmów z wiecznością. Otworzył przeto żywe źródło mądrości sokratycznej dla intellektu i pedagogji polskiej. Poważny ten wysiłek jest niezmiernie cenny i dla przeciętnego inteligentnego czytelnika. Djalogi Platońskie dalekie są bowiem od archiwalizmu. Pulsuje w nich żywa krew wiecznej ludzkiej ciekawości. Zalety i wady ludzkie mimo dwuch tysięcy lat grają tu w Atenach z taką samą żywiołową niezmiennością, iż chwilami zatraca się poczucie czasu. Wydaje się, że to nasi mędrkowie i mędrcowie igrają ze sobą i puszą się w swojej próżności i zarozumiałości.

Gromi ich śmiesznostki i słabostki stary obszarpaniec, chętny opój, bezinteresowny, uczciwy mędrzec, który rozumie wszystko, co jest ludzkie, ale tylko ludzkie. Piętnuje on każdą interesowność. Stąd płynie niechęć do niego. Ateńczycy nie mogli mu darować, iż nie chce być do nich podobny. Nie chce się zbogacić. Drwi z tajemnic zawodowych wielkich polityków, retorów, śpiewaków, poetów. Stać go na ironiczne uznanie, potrafi zawsze utaić wyższość swego ducha, by w odpowiedniej chwili doprowadzić do absurdu ich koturny i szczudła. Mawia o sobie stale, iż pragnie się uczyć, a mądrą swoją postawą napomina wszystkich, iż powinni się uczyć.

Prof. Wł. Witwicki dał niezmiernie ciekawą i można rzec nową charakterystykę postaci Sokratesa. We wstępie do genjalnej „Uczty" tak uzmysławia nam psychologiczne oblicze ateńskiego bohatera:

„Wielki prototyp dusz o podkładzie aktorskim, które chcąc się wyzwolić z jakiegoś poczucia poniżenia wewnętrznego, bo je na nich los rzucił lub konieczność, kłamią swej naturze ludzkiej: chcą się do pewnego ideału dociągnąć, zdobywają nieodzownie poczucie mocy w walce z sobą samym; tworzą siebie samych w wyobraźni i ten wytworzony ideał grają mniej lub więcej zręcznie przed sobą i przed światem".

„Ludzie tacy bez maski żyć nie mogą; Sokrates nosił maskę sprośnego sylena, a pod nią był kostjum półboga z bronzu".

Prof. Wł. Witwicki wnioskuje też, iż... ulgą i wyzwoleniem musiała być dla niego śmierć.

Pozostawiając na stronie tę kwestję, trzeba jednak powiedzieć, iż śmierć Sokratesa jest jedną z piękniejszych, jakie znają dzieje. Odrzucił propozycje ucieczki. Pozostawił Kritonowi myśl, którą w lat czterysta później podniósł słodki mistrz z Nazaretu. Sokrates rzekł: „Ani zbrodnią odpłacać nie trzeba, ani źle robić nikomu, nawet, gdybyś niewiadomo czego od ludzi doświadczył".

By myśl ta stała się fundamentem nowej ery ludzkości — musiał za nią oddać życie jeszcze Jezus. Uczył on przecież: Miłujcie nieprzyjaciół waszych.

Biedny, brudnawy, a spokojny i mądry ateńczyk rzucił sędziom swoim pod nogi pochodnię świetlistą, wyzywającą swoją treścią:

„Obawiać się śmierci, obywatele, to nic innego nie jest, jak tylko mieć się za mądrego, choć się nim nie jest. Bo to znaczy myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie. Bo przecież o śmierci żaden człowiek nie wie, czy czasem nie jest dla nas największem ze wszystkich dobrem, a tak się jej ludzie boją, jakby dobrze wiedzieli, że jest największem złem".

Gdy słowa te zmierzy się z dysputami Sokratesa z Gorgjaszem, Fajdrosem czy Protagorasem, rośnie przewaga obdrapanego sylena nad tymi filozofami. Unicestwia ich prawie moralna czystość i życiowa bezinteresowność Sokratera. Bo... nie z pieniędzy dzielność rośnie, ale z dzielności pieniądze i wszelkie inne dobra ludzkie i prywatne i publiczne. I jak niewiele sobie waży sztukę wymowy, otwierającą wtedy drogę do władzy i wpływu. Rozumie doniosłość Gorgjaszowych usiłowań. Przestrzega jednak: Mów prawdę.

I w sprawach wychowania, gdy dysputuje z Protagorasem, krąży stale koło tej swej najgłębszej zasady: odnajdywania najskrytszych pobudek, najdelikatniejszych motywów postępowania czyli onej dzielności ludzkiej, dającej możność życia odpowiedzialnego.

Djalogi z Hippiaszem, Ijonem wreszcie „Uczta", najwięcej ciekawa dla szerokiej publiczności przez swój koloryt obyczajowy, rozbudowują gmach myśli Sokratesowej, jedynej w ludzkości.

Dobrze jest zadumać się nad nią w chwile rozkosznego sam na sam z tęsknotą własną, szukającą słonecznych dróg nad bagniskami i bezdrożami współczesności.

Zpoza djalogów platońskich uśmiechnie się nam wtedy monstrualna a piękna twarz ateńskiego mędrca. Nieziemska jej dobroć naprowadzi nas na drogi jej poszukiwań prawdy.

I wspomnimy wtedy zapewne, iż ten mędzec—bohater umiał również smakować dobre wino, czcić Erosa i śpiewać chwałę pięknu.

Eustachy Czekalski.

KSIĄŻKI NAJMILSZE.

Pośród wielkiej ilości książek, pojawiających się rok rocznie na półkach księgarskich, znaleść się musi zawsze kilka, a chociażby jedna, najmilsza, której kartki stają się drogie, słowa—kochane i przyjacielskie.

Taka książka nie przypomina zazwyczaj całej „literatury", papieru, farby drukarskiej, nie przypomina nawet zna-



P. Kaden-Bandrowski.

nej fizjonomji autorskiej, a jest jakiemś samotnem zapytaniem, czy okrzykiem chwili.

Do książek najmilszych należy ostatni tomik Juljusza Kaden-Bandrowskiego „Wakacje moich dzieci".

Wszystko, co się pisze o dzieciach, jest naogół mdłe, sentymentalne i nieszczere. Literatura o dzieciach posiada ckliwy ton, który nie tylko nudzi, ale doprowadza do rozpaczy nieco wybredniejszych czytelników. Dziecko jest albo czemś cudownie mądrem, czego niezapomnianą karykaturą jest swawolny Dyzio z „Ludzi bezdomnych", albo „osłodą starości", „jasnym promykiem".

To, co o dzieciach pisze Kaden-Bandrowski, zniewala bezpośredniością, głębią uczucia i odczucia.

...Moi chłopcy z kubełkami, łopatkami, pomarańczą i nianią odeszli już nad morze. Jeszcze przed chwilą słychać było ich głosy jasne i wartkie, niby dwa płomienie, splątane na powietrzu, teraz widać tylko złote główki, ostrożnie nad koniczyną mijające obok assyryjskiej postaci starego kozła.

Patrzę na niemi,—dwie—cała wiązka szczęścia, radości i nadziei.

Wymachują krótkiemi ramionami, małe palce otwierają do słońca, przywiązany jestem do drogi, którą szli, rozpostarty jestem na ścieżce, którą stąpać będą, a cały piach nadbrzeżny, który ich zaraz ogarnie, niech też niczem innem nie będzie—tylko mną...

Książka Kaden-Bandrowskiego jest przekrojem serca, odsłonięciem przez jedną chwilę a zadokumentowaniem raz na zawsze przecudnych momentów głębokiego wniknięcia w istotną treść życia. Tak, życie płynące w nas samych, obok nas, za nami i przed nami, w nieustającej i odradzającej się młodości, które z rodziców przechodzi w nas, z nas w dzieci,—to życie cudowne, dobre, błogosławione, czy zmarnowane, zaprzepaszczone, zniszczone, przelewa się mocną falą przez tę malutką książkę.

Przepojony wielką miłością synowską każdego skraju ziemi, każdej piędzi ojczystej, z gorącem tchnieniem opowiada o brzozie, kamyczku, jarzębinie. Z tej miłości rodzi się wielkie uczucie ojcowskie.

Uczucie ojcowskie rozpada się na dwie chwile. Jedna chwila, to dziś, gdy pierś dziecka jedną ogarnia dłonią, a cieniutką szyję zamyka pierścieniem palców jednej ręki. I druga chwila, to jutro przeczuwane. W tem jutrze jawi mu się dorosły syn, dojrzały do życia, któremu ufać będzie nieskończenie, choć go już prawie nie zrozumie, jak on ufał wtedy, gdy niewiele mógł wiedzieć o ojcu.

Za tem przeczuciem idzie i inne przeczucie rozstania, konieczności odejścia. Wsłuchany w tajemnicze szepty morza i w bicie własnego serca, daje najbardziej poetycką kartę.

...Tak płynęli ojcowie, nieznani, zapomniani, których całe życie rozwiał doszczętu czas, jak mnie w swojej kolei rozmiecie znów układnie.

Poczem nadejdą moi chłopcy, na swój czas nowi, silni. Któryś z nich ze sławą, albo z rozumem, światu potrzebnym, może jechać będzie tędy, morską drogą, i, przechylony przez barjerę, zaśmieje się nagle, nie wiedząc, że to moje stare umarłe oczy z falą ku niemu płyną.

Albo może któryś z nich, biedny i utrudzony, pośród straszliwych pieców okrętu palacz brudny, przeklinać będzie, nie wiedząc, że to mój oddech zetlały szumi w czerwonym ruszcie...

Czegoż cię wtedy nauczę, ty mądry i dorodny, oraz ty słaby, oliwą nędznej pracy gęsto poplamiony?!

Czegóż się dowiesz odemnie?

Dawno już wtedy nie będzie wioseł, któremi teraz nad wodą kreślą perłowe cienie, ani nie będzie łodzi, która teraz czarnemi piersiami płynie lekko pod wiatr. Ani nie będzie już tych moich ramion, ani nóg, ani rąk, ani głowy, ani żadnego cienia z wszystkiej mojej miłości.

Czegóż się wtedy dowiesz, po dalekich podróżach, czy też błahej przejażdżce, — jak teraz coś wiem, ja, gdy łódź do kija uwiązałem i na piachu spoczywam, grzebiąc bezmyślnie palcami w cichutkiem mrowiu ziarn?

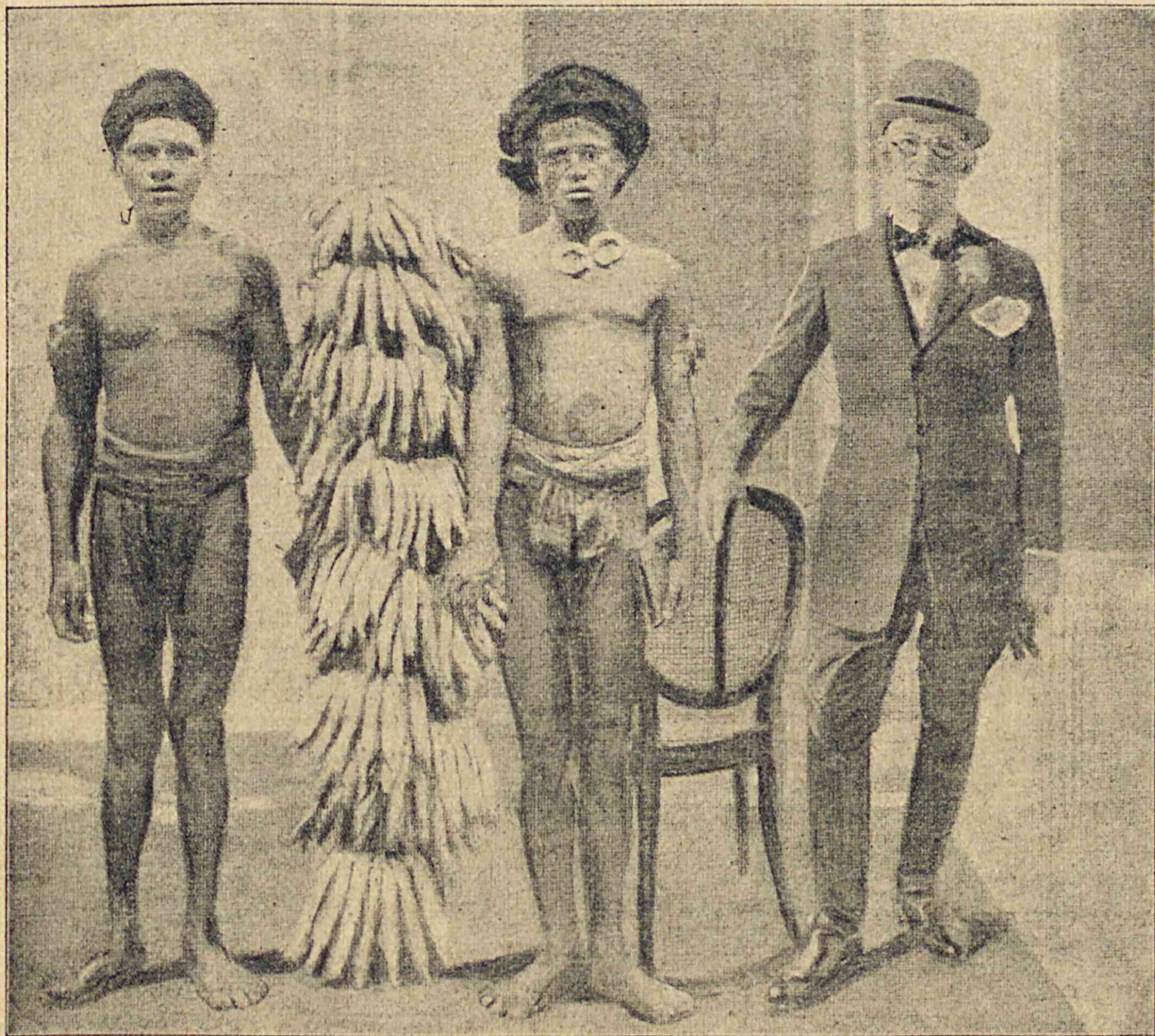
Wtedy się dowiesz odemnie, jak ja dziś o moim ojcu wiem, gdy suchy piasek w dłoniach przesypuję, że owo ziarnko sypkie, czyste i niezliczone jest duszą naszą wieczną, ludzką i jedyną, która wszystko do krwi przeciera, nim się sama doszczętu zetrze na wieki i na nie..

Smutek płynący z tej uroczej książki, wynika nie tylko z głębokiego zrozumienia życia, ale i ze zbyt bystrego patrzenia. Gdy w dniu „wakacji" zestawia dwa pokolenia, to, które wypracowało beztroskie wakacje, i to, którego te wakacje są szczęśliwym udziałem, narzuca mu się szereg gorzkich refleksji. Że oto ciężar pracy, ofiarność własnego życia, kuźnie przyszłości, najradośniejsze poświęcenia —wszystko to młode pokolenie i młode życie wchłania w siebie i rychło już tym, co tę teraźniejszość stworzyli, zawoła: z drogi!

Książka Kaden-Bandrowskiego jest smutna i prawdziwa. Wzrusza szczerością, czaruje—poezją, która bije wspaniałą łuną z każdego słowa, i ujmuje nieuchwytnym wdziękiem melancholji.

bj.

Hołd dla kompozytora popularnego Shimmy.



Mr. Frank, znany amerykański kompozytor, zdobył majątek na popularnym swoim utworze „We Lave not bananas". Słowa jego dotarły nawet do Liberji. Delegacja murzyńska wręczyła mu półtorametrową kiść bananów.

Teatr Rozmaitości: „Żywy Budha“, dramat w 3 akt. Ant. Ferd. Ossendowskiego.



Scena aktu I. P.p. Solski (Ungern), Ryszkowski (Lama) i Janowski (Gorski). Fot. St Malarski.

Z TYGODNIA.

Utrwala się wiara, że jesteśmy na drodze powrotnej do normalnych warunków życia... Kurs waluty ustalony. Bank Emisyjny rozpoczyna działalność. Niebawem skończy się oszałamiający taniec zer. Zaczniemy liczyć skromnie na złote polskie. Pierzchają głupie złudy o miljardach. Ustanie niezdrowa spekulacja. Już dzisiaj giełda „leży“. Gwałtowne skoki kursów, niosące zręcznym graczom w ciągu godziny ogromne zyski, należą do przeszłości. Trzeba wyrzec się słodkich snów o nagłych, bez trudu zdobytych fortunach. Niema rady, kochani ziomkowie, zostaje tylko praca, praca mozolna, umiejętnie skoordynowana i wytrwała. Kto nie chce lub nie umie pracować, zginie. Nadchodzą czasy twarde, bezlitosne. Walka o byt będzie się zaostrzać. Biada próżniakom i niedołęgom!

Przejechałem teraz całą Europę Środkową i widziałem, jak wszędzie wzmógł się wysiłek pracy. W Austrji, w Szwajcarji, we Włoszech, a zwłaszcza we Francji! Paryż budzi zachwyt pięknością swych perspektyw i gmachów, bogactwem muzeów, wykwintnością smaku we wszystkich dziedzinach twórczości. Lecz niemniejszy podziw budzi niesłychana, wprost zawzięta energja, z jaką francuz wziął się do odbudowy swego dawnego stanu posiadania. Z jednakową pasją pracuje i oszczędza. Bawią się w Paryżu nieomal wyłącznie cudzoziemcy. Francuz organizuje te zabawy, przyobleka je w niezrównany, nigdzie indziej nieosiągalny wdzięk i powab, i ciągnie z nich korzyść.

Nocne życie Paryża? Słynne kawiarnie i restauracje Montmartre'u, Abbaye de Theléme, Ramort, Delice Bar, Moulin-Rouge?.. Wspaniałe dancing'i w okolicach wielkich bulwarów, Pól Elizejskich?.. Wszystko dla cudzoziemców, dla pstrej zgrai przybyszów, ciągnących tu z całego świata... W Casime de Paris, w ostatniej revue, pani Marnac zwraca się do publiczności z pytaniem, czy na widowni znajduje się choćby jedna osoba, mówiąca po francusku...

Ogół ludności paryskiej, wszystkich warstw, wstaje wcześnie, idzie spać rychło, — pracuje zapalczywie, liczy się z każdym wydatkiem.

Jeśli my, polacy, nie zdobędziemy się na taki sam wysiłek energji,— nie wytrzymamy współzawodnictwa. Inne narody uczynią z Polski żerowisko dla swojego przemysłu i handlu. Stanowisko polityczne państwa opiera się dziś wyłącznie na fundamentach gospodarczych...

Aż nudno powtarzać te komunały. A jednak trzeba je powtarzać, trzeba wpajać to przeświadczenie we wszystkie mózgi i móżdżki. Bo niewola ekonomiczna prawie zawsze w końcu wywołuje niewolę polityczną!

Z powodu sztuki, którą głośny podróżnik, prof. Ossendowski, wystawił w Rozmaitościach, wywiązała się dość zabawna polemika. Artystka, równie znana z talentu i powabu, jak z nieustępliwej cnoty, zniewolona jest w tej sztuce przez autora do uchylenia na sekundę rąbka (czy może trochę więcej) ponętnego biustu. Złośliwi krytycy obeszli się okrutnie, bez miłosierdzia, z dramatem, podnosząc natomiast piękno biustu (który tego zabiegu zresztą wcale nie potrzebował). Huknęły równocześnie gromy oburzenia. — Pan Bóg na to obdarzył człowieka grzesznem ciałem, twierdzi pani Poczobutowa w „Rusałce“, żeby go się wstydził. By uspokoić wzburzoną moralność, czarująca artystka musiała utaić hardy biust w cielistym trykocie „z guziczkami“, a dzienniki stołeczne zajęły się poważnie i sumiennie zagadnieniem, czy nagość artystyczna jest, czy też nie jest występkiem przeciw moralności. Stąd można wywnioskować, że nagość nieartystyczna, t. j. zniekształcona, — biust pozbawiony miłej arogancji, — przez wszystkich jednakowo został potępiony...

Obrońcy „prawa do nagości“ powołują się jednak zgoła niesłusznie na paryskie Music-Hall'e, które eksponują dziesiątki prawie doszczętnie obnażonych kobiet ku uciesze cudzoziemskich barbarzyńców, przybyłych zażyć rozpusty nowego Babilonu. Celuje w tem zwlaszcza Folies-Bergère. Otóż trzeba powiedzieć jasno i wyraźnie, jest to spekulacja na instynkty, nic z artyzmem i z pięknem nie mająca wspólnego. Cenzura miejscowa przymyka oczy na te ekstrawagancje, stanowiące przynętę dla cudzoziemców.

Wykwintny smak paryski zresztą umie nawet tę spekulację uczynić powabną. Wyobraźmy sobie wszakże, jakby z tej swobody korzystał zły i trywialny gust przedsiębiorców warszawskich! Między dancing'ami paryskiemi a warszawskiemi jest ta różnica, że tam piją szampana i tańczą, zaś u nas — piją wódkę i wcale często biją się po twarzy. Folies-Bergère, przeniesione na bruk warszawski, zamieniłoby się prawdopodobnie w ordynarny dom publiczny.

Natomiast zastrzedz się należy jak najwyraźniej przeciw ingerencji domorosłych moralistów i niepowołanych cenzorów w te dziedziny, gdzie odpowiedzialność przed opinją publiczną przyjmują na siebie autorzy i poważniejsi dyrektorzy teatralni. Literatura i sztuka mogą rozwijać się tylko w atmosferze swobody. Krytyka i opinja publiczna są od tego, by piętnować wykroczenia przeciw dobremu smakowi i obyczajowości. Policyjno - cenzuralna opieka łacno stanęłaby na poziomie pojęć poczciwego proboszcza z Psiej Wólki.

Nie wszystko, co na Zachodzie Europy stało się rzeczą powszednią, da się doraźnie przeszczepić na nasz grunt. W takich roztrząsaniach, pisze Montaigne, trzeba rozróżniać prawa naturalne od umówionych. Te ostatnie zaś muszą być uzależnione od warunków obyczajowych i od poziomu kulturalnego ludności.



Ś. p. Elżbieta margr. Wielopolska.

Znika jeden z najwytworniejszych salonów warszawskich, — salon margrabiny Elżbiety Wielopolskiej, która zmarła w zeszłym tygodniu. Zgon jej obudził w wyższych kołach towarzyskich stolicy szczery żal. Ś. p. margr. Wielopolska była wielką damą w każdym calu. Interesowała się wszystkiem: polityką, sprawami filantropijnemi, sztuką. Salon jej wolny był od tej ekskluzywności, w której lubuje się nadmiernie nasza arystokracja, stroniąc od zbliżenia się z „nieurodzonymi“ śmiertelnikami. Umysł miała żywy, ruchliwy, dla wszystkich była jednakowo uprzejmą, przyjęcia w ładnym pałacyku przy alei Róż posiadały styl wytworny, wielkopański, wysoce kulturalny. W tej chwili niema drugiego takiego salonu w Warszawie, a mimo że żyjemy w czasach bardzo demokratycznych, — nierzadko zdarzały się okoliczności, w których taki salon stawał się nader użytecznym. *skrz.*

Niezwykłe zjawisko atmosferyczne.



Kwietniowy śnieg w Konstantynopolu. Aja Sofija, słynny meczet, pokryty śniegiem.

Z teatrów berlińskich.

Kończy się berlinski sezon teatralny, a ostatnie dni marca przyniosły na pożegnanie mnóstwo premjer. Ale ubogim w zdarzenia, ubogim w powodzenie był cały sezon, nie lepszem jest też jego zakończenie. Jakby chcąc wystawić świadectwo ubóstwa nietylko swoim ale i obcym współczesnym pisarzom dramatycznym, Berlin wprowadził na repertuar mnóstwo starych i starszych sztuk angielskich, sięgając aż do Szekspira. Oprócz Szekspira, wznowiono w teatrze na Kurfuerstendamm znaną już Berlińczykom z przed laty dwudziestu komedję W. S. Maughama „Lady Frederyck“, w której rola czterdziestoletniej Circe, tak popularnej w Anglji, dała pole pani Konstantin do rozwinięcia swych talentów i wdzięków...

W teatrzyku Tribune święci po raz pierwszy na deskach berlińskich tryumfy Gilbert Chesterton swoją zagadkową sztuką „Magic“. W sztuce tej mało się właściwie dzieje. Do cichego zamku księcia angielskiego, nie całkiem na umyśle zdrowego, przybywa jako gość prestidigitator. Książę, chwilami całkiem rozumnie rozmawiający, popada często w bezsilne mamrotanie zdziecinniałego, zdegenerowanego umysłu. Dziedzicznie też obciążeni są siostrzenica Patricia jasnowłosa, pół jeszcze dziecko, zabawiająca się rozmową z rusałkami w mglistym parku zamkowym, i brat jej Morris Carleon, wykształcony na kupca w Ameryce, pozornie trzeźwy, lecz wrażliwy do chorobliwości na wszystko, co się tyczy mocy nadprzyrodzonych.

Patricia, napotkawszy niespodziewanie w parku prestidigitatora, widzi w nim ziszczenie swych marzeń. Brat jej obraża magika, który mści się w dziwny sposób. Różnemi sztuczkami nakłania Morrisa do seansu, by potem doprowadzić go do obłędu rzeczywistą czy pozorną magją. Czerwona latarnia staje się niebieską, martwe sprzęty ruszają się. Magja prawdziwa czy sztuczki? Czarnoksiężnik sam wierzy w nadprzyrodzone siły, nie umie wytłumaczyć zagadki, by wytłumaczeniem uzdrowić Morrisa i tylko z sympatji dla Patrycji wymyśla pozorny trick, który uzdrawia jej brata. Niepokój ogarnia słuchaczy, milknie rozsądek i słuchacz prawie już wierzy w magję. Fantastyczna ta komedja wielkiego myśliciela nie znalazła u berlińskiej publiczności właściwego zrozumienia. Smiano się tam, gdzie płakać należało. Ale powodzenie było wielkie dzięki znanemu imieniu autora, doskonałej grze i reżyserji.

Tak samo nie wszyscy słuchacze pojęli właściwie najnowszą sztukę Jerzego Kaisera, jedną z najlepszych sztuk niemieckich tego sezonu, wystawioną w Lessingtheater pod tytułem „Kolportage“. Sam tytuł już wiele mówi, choć sztuka równie dobrze zwać by się mogła „Fałszywy hrabia“, lub „Zamienione dziecko“, lub „Zemsta zawiedzionej“. Jerzy Kaiser dał nam na scenie prawdziwą powieść kolportażową w stylu Courths Mahler lub Mniszkówny. Roi się na scenie od prawdziwych i fałszywych hrabiów, zamienionych czy podrzuconych dzieci, skamieniałych w rodowej dumie arystokratek, amerykańskich selfmademenów. Kaiser z wielkim talentem demonstruje, jak z takiej filmowej sensacji można stworzyć sztukę scenicznie świetną, trzymającą cały czas słuchaczy w naprężeniu i mającą jeszcze w sobie sporą dozę etyki i moralnego wpływu.

Rzecz dzieje się w Szwecji. Hrabia Sternenhjo ożenił się z bogatą mieszczanką panną Brat, a splamiwszy w ten sposób swą tarczę herbową, utracił szacunek swej w dawnych tradycjach zakrzepłej rodziny. Po urodzeniu się syna nieszczęśliwe i tak małżeństwo rozchodzi się, ale hrabia, wiedząc, że syn jego jest spadkobiercą ogromnej fortuny mieszczańskiego dziadka, chce go odebrać matce. Przezorna matka umieszcza w kołysce synka kobiety z ulicy, płacąc jej za to dożywotnią rentę, pod warunkiem, że w dniu ogłoszenia pełnoletności zgłosi się ze swemi prawami. Sztuczka udaje się, hrabia porywa syna włóczęgi, a była hrabina z synem przenosi się do Ameryki. Rzekomy dziedzic hrabiowskiego tytułu ma wszystkie, nieodzowne dla przedstawiciela tak starego i szlacheckiego rodu zalety, a prawdziwy, w Ameryce wychowany i zbogacony hrabia, ma wszystkie cechy, przymioty i wady nieokrzesanego Amerykanina. W dwadzieścia lat po ucieczce do Ameryki, w dniu ogłoszenia pełnoletności młodego hrabiego i zaręczyn jego z córką szlacheckiej rodziny, w zamku zjawia się nietylko właściwy dziedzic z matką, która obmyśliła sobie ten rodzaj zemsty, ale pani Aplebom, owa kobieta z ulicy, teraz żona mieszczanina, niemiecka pani Dulska.

Wybucha bomba w cichym arystokratycznym zamku; po tragedji nadchodzi chwila sentymentalna. Szlachetny Yankes rezygnuje z fortuny dziadka, bo sam ma pieniędzy więcej, niż wody, baronówna pozostaje wierną narzeczonemu pomimo tego, że w nim odzywa się głos krwi i przyznaje się do swej w tem środowisku niemożliwej matki. Czek syna ratuje hrabiego, który utracił i przepułał cały majątek, od nieodzownej kuli.

Wreszcie wszyscy demokraci prawdziwi i fałszywy hrabia, obie matki i narzeczona udają się do Ameryki, a w starym zamku pozostaje sama arystokracja. A stara najarystokratyczniejsza z arystokratycznych hrabina posuwa się do twierdzenia: „Przecież w każdym proletarjuszu tkwić musi kawałek hrabiego, a w każdym hrabiu kawałek proletarjusza. Ja jednak jestem za starą, by się przystosować do tego bolszewizmu“.

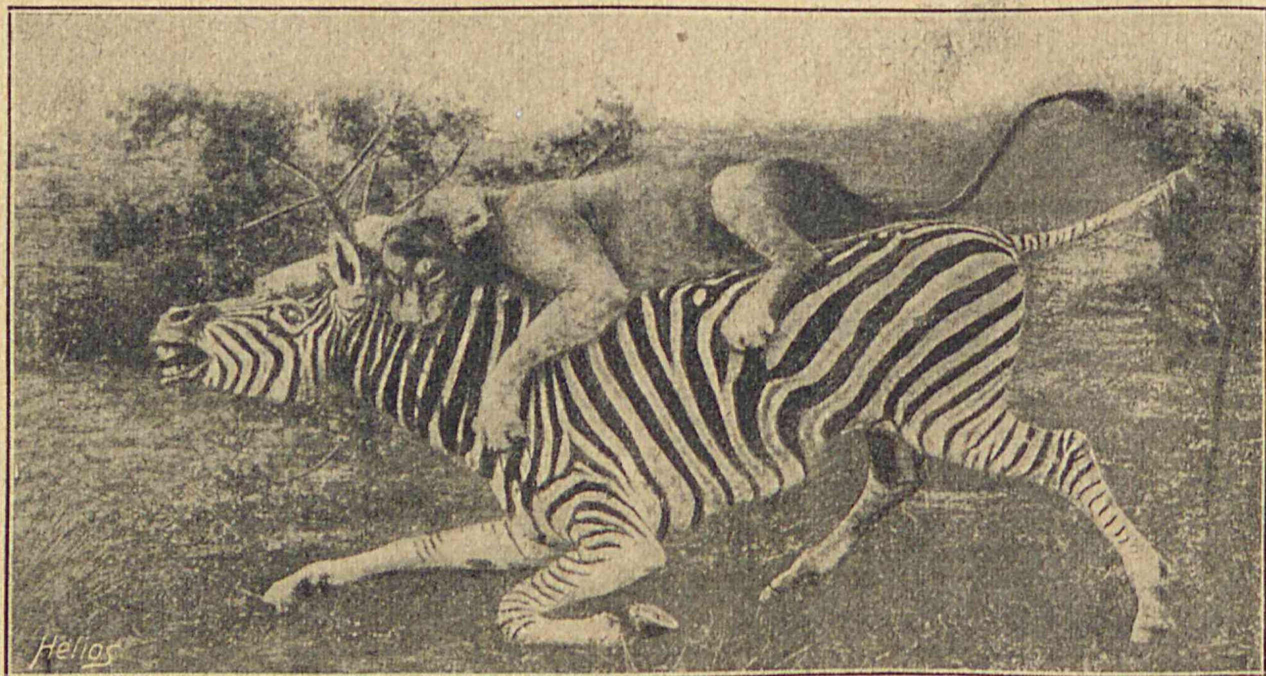
Podobną rolę proletarjusza, w którym tkwi prawdziwy hrabia, wybrał ulubieniec Berlina Basserman na swe gościnne występy. Są to trzy jednoaktówki Feliksa Saltena pod tytułem „Vom anderen Ufer“. Pierwsza z nich to historja kelnera, który, z miłości do arystokratki, podejmuje rolę hrabiego Festenberga i gra ją tak znakomicie, że pozyskuje nie tylko hrabiankę za żonę, ale względy wszystkich jej krewnych. Druga „Der Ernst des Lebens“ to zbuntowanie się wrażliwej artystycznej duszy młodego przedstawiciela Feaków przeciwko prostej chłopskiej brutalności szwagra lekarza, ogłaszającej mu bezlitośnie wyrok śmierci. Obie te role są całkiem nieodpowiednie dla silnej, brutalnej postawy Bassermana, dla jego wybitnej indywidualności. Bassermann gra je wprawdzie po mistrzowsku, ale zacierają się zupełnie intencje autora. Dopiero w ostatniej sztuce: „Die Auferstehung“ „Zmartwychwstanie“, gdzie Basserman, gra rolę bon vivant, powracającego po ciężkiej chorobie do zdrowia, wielki artysta czuje się naprawdę w swoim żywiole.

Bassermann występuje w Deutsches Theater. Obok w „Kammerspiele“ grają sztukę Pawła Kornfelda, która pomimo przydźwięków z Moliera i Sternhama, pomimo dobrego pomysłu komedjowego, jest beznadziejnie nudną. „Lampe der Gekränkte“, „Obrażony z urojenia“. Każde słowo, każdy gest swego otoczenia, ludzi na ulicy, przygodnych znajomych, każde zdarzenie kładzie na wagę, mierzy i waży, dopatruje się złych zamiarów, chęci obrażenia, braku uczucia i potęguje w sobie rozpacz z tego powodu do śmieszności i tragizmu. Pomysł, z którego można stworzyć zabawną jednoaktówkę, doskonałą groteskę, ale nie komedję w pięciu aktach, w której obok groteskowych sytuacji są zapędy do poważnego sentymentalizmu, refleksje melancholijne i t. p. Po drugim akcie ma my już dość i gdyby nie rzeczywiście świetna gra Guelsdorffa, nie wiem, czy połowa widzów nie ulotniłaby się, lub nie zasnęła przed końcem.

Berlin. *S. G.*

Z wrażeń myśliwego w Afryce.

Niezwykła fotografja.



Zgłodniała lwica rzuciła się na zebrę, która w galopie poczęła uciekać. Walka ta odbyła się niemal na oczach myśliwych. Jednemu z nich udało się zrobić to niezwykłe zdjęcie, przypominające sprawnością niemal kinematograf.



Dyrektor Targu Poznańskiego p. M. Krzyżankiewicz.



Wicedyrektor Targu Poznańskiego p. J. Szemota.



Decernent Targu Poznańskiego Radca Miejski p. St. Robiński.

IV Targ Poznański.

Okres dewaluacji marki polskiej, który przeżywaliśmy, przyniósł stworzenie całego szeregu nowych placówek przemysłowo-handlowych w Polsce. Objaw ten nie jest jednakowoż znakiem ugruntowania przemysłu i handlu na zasadach wyłącznie zdrowych. Wyrastanie nowych firm najróżnorodniejszych branż uważać należy raczej za wpływ chwilowej, swoją, drogą nadzwyczaj sprzyjającej, konjunktury.

Obecnie, kiedy weszliśmy w okres stabilizacji stosunków gospodarczych, owe nowopotworzone jednostki gospodarcze stają częstokroć przed zagadnieniem dalszej egzystencji. Wystawioną jest na próbę ich zdolność życiowa i solidność. Zastój, objawiający się nie tyle groźnie, ile uporczywie, oraz ciężary podatkowe bezwątpienia poderwą byt niejednego przedsiębiorstwa. Trzebież tego rodzaju jest konieczna a podupadłe przedsiębiorstwa z punktu widzenia interesu ogólnokrajowego bynajmniej nie są do pożałowania. Tkwiące w nich siły i kapitały z pewnością można będzie użyć na innem, może odpowiedniejszem miejscu. Jedynym sposobem, który stanowić będzie ochronę w zmianie stosunków, to indywidualność produkcji i kalkulacja, streszczająca się w zadowoleniu mniejszemi zyskami.

Jest rzeczą w życiu gospodarczem na ogół znaną, że Targi bywają najczulszym barometrem stosunków ekonomicznych. Dowiodły tego ostatnio wiosenne Targi niemieckie. Spotyka się jednakowoż często twierdzenie, że z nastaniem stosunków normalnych Targi w Polsce zatracą tę właśnie cechę. Że twierdzenie takie pozbawione jest racji, pokaże za tydzień IV Targ Poznański. Nie możemy zaprzeczyć, że w uzdrowieniu stosunków gospodarczych postąpiliśmy tak daleko, iż możemy je uważać w wielu dziedzinach za normalne, aczkolwiek trudne. Zainteresowanie zaś polskim Targiem wiosennym nietylko że nie osłabło, lecz wzmogło się do tego stopnia, że już 5 tygodni przed IV Targiem Poznańskim stoiska do ostatniego metra kwadratowego były zajęte. Wniosek stąd prosty, jak wielką wagę przypisuje przemysł i kupiectwo polskie Targowi Poznańskiemu. I jeszcze jeden charakterystyczny objaw można zaobserwować. Zanikają mianowicie jednostki gospodarczo słabsze, nie dość czujące się na siłach, by stanąć do konkurencji na Targu, dla którego nieobecność firm o wątłych siłach jest tylko korzystna.

IV Targ Poznański zgromadził tedy najpoważniejsze polskie firmy, najzdolniejsze do przeprowadzenia większych i długoterminowych tranzakcji, co właśnie odpowiada charakterowi Targu, który w tym roku będzie polskim targiem eksportowym.



Prezydent Miasta Poznania p. Cyryl Ratajski.

Dla przedsiębiorstw, o których mówimy, będzie Targ Poznański poniekąd probierzem, czy ich kalkulacja i droga, na którą wkraczają, zapewni im dalszą egzystencję i rozwój.

Kredyt, stanowiący przed wojną nadzwyczaj ważny czynnik w układaniu się stosunków gospodarczych, znajdzie na IV Targu Poznańskim swe pierwsze w Polsce zastosowanie w handlu na zdrowych podstawach. Złoty polski, jako miernik stały, będzie środkiem płatniczym, który obie strony kontrahujące zadowoli. Okaże się wobec tego zbyteczną sprzedaż i kupno towarów w dolarach, funtach lub frankach.

Polska, posiadająca wszelkie podstawy dla rozwoju przemysłu, będzie w nowych warunkach mogła wykorzystać swe bogactwa naturalne, przetwarzając je w swych zakładach przemysłowych. Przemysł polski potrafi zaspokoić wkrótce nietylko potrzeby rynku wewnętrznego, lecz będzie mógł rozwijać zapoczątkowany eksport.

Dla zdobycia zbytu za granicą konieczną jest znajomość tamtejszych rynków i osobiste zetknięcie się z importerami. To stanie się na IV Targu Poznańskim, który, jak już wspomnieliśmy, będzie polskim targiem eksportowym. Propaganda zagraniczna Targu Poznańskiego szła z całą świadomością w tym kierunku, aby na Targ ściągnąć importerów najliczniej z tych właśnie państw, z których wyroby polskie spotkały się z zainteresowaniem i gdzie produkcja nasza będzie mogła liczyć na poważny zbyt. Krajami temi są: Rumunja, Bałkany, Turcja, Egipt, Tunis, z drugiej strony zaś państwa Nadbałtyckie. W tych wszystkich krajach utworzył Targ Poznański reprezentacje, działające nader sprawnie i intensywnie tak, że skutki propagandy są zapewnione, i że wobec tego zobaczymy na Targu najpoważniejszych przedstawicieli importu zagranicznego. To, co wyżej powiedzieliśmy, nie znaczy, jakoby Targ Poznański zaniedbywał



Z Propagandy Targu Poznańskiego podczas Międzynarodowego Targu w Wiedniu od 9 do 15 marca. — Patrole z sztandarami afiszowemi Targu Poznańskiego.

propagandę w innych krajach, przeciwnie, prowadzi on ją z niebywałym rozmachem. Szczególną uwagę poświęcił Targ Poznański propagandzie swej tegorocznej imprezie na zagranicznych targach wiosennych. Prasa wiedeńske podczas Targu wiedeńskiego od 9,—15 III. 24 r. dość szeroko o propagandzie tej rozpisywała się.

Cechą odróżniającą Targ od wystawy jest to, że przedsiębiorca rzadko tylko przychodzi na targ z pobudek reprezentacji, lub reklamy, lecz stara się przedewszystkiem zrobić jak najlepsze interesy. To też przystosowuje już poprzednio swą produkcję i ceny. W dążeniu przełamania wiszącego obecnie nad naszem życiem gospodarczem zastoju uczyni to każdy wystawca nadzwyczaj starannie, usiłując pobić konkurencją. Zyska na tem odbiorca, mający wskutek tejże konkurencji nietylko większy wybór towarów lecz nabywający je po cenie zupełnie innej, niż gdyby towary nabył przy braku konkurencji. Śmiało rzec można, że po Targu Poznańskim zaznaczy się wyraźnie zniżka artykułów, na czem skorzysta znów konsument.

W ten sposób IV Targ Poznański stanie się regulatorem życia ekonomicznego kraju. Taki regulator zaś potrzebny jest nie na rok jeden, lecz stale i w tem leży również pożyteczność i racja bytu Targu Poznańskiego, który z najmniejszych początków rozwinął się na tak ważny czynnik.



Kierownik Wydziału Prasowo-propagandowego Targu Poznańskiego p. E. Bobrek.

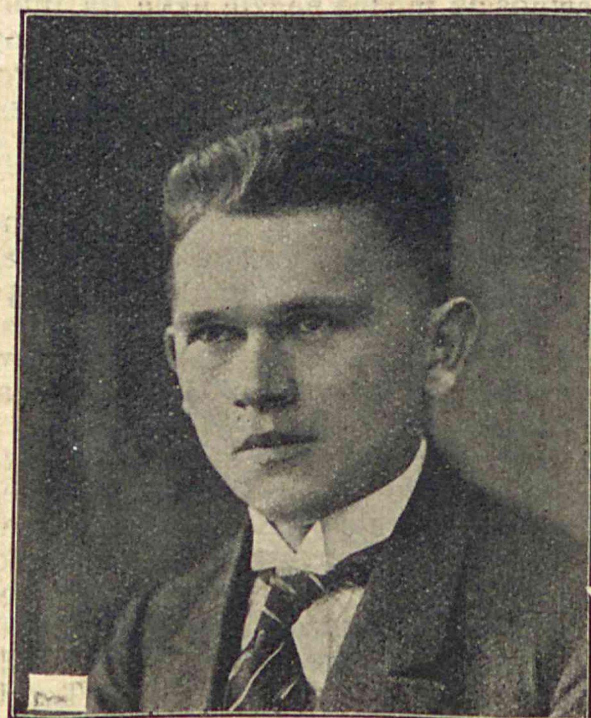
Szkic rozwoju Targu Poznańskiego.

Myśl zoorganizowania w Poznaniu Targów powstała w roku 1921, za inicjatywą Prezesa Związku Towarzystw Kupieckich p. Mazurkiewicza. Myślą tą zainteresował się nadzwyczaj żywo ówczesny Prezydent Miasta Poznania ś. p. Dr. Jarogniew Drwęski, który też powołał komitet targowy, składający się z przedstawicieli sfer „Targiem Poznańskim" zainteresowanych. Organizacja Targu Poznańskiego powierzona została z końcem roku 1920 p. Mieczysławowi Krzyżankiewiczowi, który do dzisiejszego dnia jest dyrektorem tej instytucji nadzwyczaj pożytecznej i ważnej dla naszej gospodarczości.

Największą trudność sprawiała kwest ja odpowiednich hal wystawowych. Sprawa została jednakże pomyślnie rozwiązana i pierwszy Targ Poznański odbył się w maju 1921 r. na trzech terenach, których właściwe centrum stanowiła Wieża Górnośląska o mniejwięcej 5.000 mkw. powierzchni.

Targ Poznański, który przez wszystkie lata swego dotychczasowego istnienia, jak również w tym roku jest Targiem krajowym, to znaczy, dopuszcza do udziału tylko firmy krajowe, a z zagranicznych jedynie te, które posiadają w Polce przedstawiciela obywatela polskiego. Takie ujęcie Targów Poznańskich było ze względu na ochronę młodego polskiego przemysłu i handlu koniecznem, — poruszył żywo przemysłowców i kupców. Udział firm w tym Targu, wynoszący około 1.200 wystawców, świadczy, na jak dobry grunt idea trafiła. Budynki, w których I Targ Poznański się mieścił, posiadające powierzchnię mniejwięcej 15.000 mkw., szczelnie się zapełniły, liczba gości targowych dosięgała cyfry 40.000 osób.

Niedogodność, jaką przedstawiały rozrzucone tereny I. Targu Poznańskiego, została usunięta na II. Targu Poznańskim. Zarząd Targu wydzierżawił od władz wojskowych hale przy Placu Prezydenta Drwęskiego i po gruntownym remoncie zmienił je na wygodne jasne hale targowe, nadające się świetnie do wystawienia wzorów przemysłu precyzyjnego, chemicznego, skórzanego, meblowego, papierowego, spożywczego i innych. Przy wieży Górnośląskiej, to znaczy w Wieży samej, wystawiał ciężki i lżejszy przemysł metalowy, w pawilonach Banku Przemysłowców i Banku Han-



Wicedyrektor Targu Poznańskiego p. Jan Szumański.

dlowego przemysł tekstylny, a na wolnem polu na powierzchni mniejwięcej 28.000 mkw. rozmieściły się maszyny rolnicze, powozy i inne na działanie atmosfery mniej wrażliwe eksponaty. Podział ten w zasadzie pozostał do roku bieżącego, z tą tylko różnicą, że na III. Targ Poznański dyrekcja zmuszona była dla pomieszczenia eksponatów przemysłu metalowego wybudować olbrzymią halę 110 m. długą, 40 m. szeroką i o środkowej wysokości 28 m.

II. Targ Poznański obesłany został przez 1.750 firm, które rozmieściły się w budynkach o obecnej powierzchni 25.000 mkw. prócz wspomnianych 28.000 mkw. wolnego pola. Notowana liczba gości targowych wzrosła na 80 000 osób. Transakcje dosięgały nadzwyczajnych sum. Rozwój Targu Poznańskiego został ugruntowany.

III. Targ Poznański odbył się po wybudowaniu nowej hali o powierzchni 30.000 mkw. w zamkniętych budynkach i wspomnianym już obszarze wolnego pola. Cyfra wystawiających firm przekroczyła 2.000, a liczba notowanych gości wynosiła przeszło 120 000 osób. Charakterystycznym objawem było, że na III. Targ Poznański zjawili się dość licznie kupcy zagraniczni.

Tegoroczny t. j. IV. Targ Poznański, odbędzie się na tych samych terenach, lecz jeszcze w tym roku powstaną nowe gmachy i hale targowe, gdyż obecne okazały się wobec tłumnego napływu eksponentów za szczupłe...

Zadania, które ubiegłe Targi Poznańskie spełniły, streszczają się następująco: I. Targ Poznański był poniekąd miejscem zaznajomienia się przemysłu i handlu trzech dzielnic Państwa Polskiego, II Targ ugruntował stosunki handlowe między dzielnicami, które od tego czasu sharmonizowały się i idą odtąd normalnemi torami. III. Targ Poznański był wielką giełdą podaży i popytu na wzór Targów Zachodnio-Europejskich, przyczem poruszył zainteresowanie zagranicy. IV. Targ Poznański będzie Targiem nastawionym wybitnie na eksport i zapozna w najlepszy i najdogodniejszy sposób zagranicę z naszą wytwórczością.

Program IV. Targu Poznańskiego.

IV. Targ Poznański, odbędzie się, jak wiadomo, w czasie od 27 kwietnia do 4 maja br. Otwarcie nastąpi w niedzielę dnia 27 kwietnia b. r. o godz. 11-tej przed południem.

Zrozumienie, jakie Rząd Rzpltj. okazuje dążeniom Targu Poznańskiego, znajdzie swój wyraz w fakcie, że najwyższy dostojnik Państwa, Pan Prezydent Wojciechowski, otworzy IV. Targ Poznański osobiście i w tym celu przybywa do Poznania już w sobotę, 26 kwietnia b. r. Równocześnie z Panem Prezydentem przybędą członkowie Rządu, dyplomacji zagranicznej, misje handlowe, bawiące w Polsce, i cały szereg wybitnych osobistości ze sfer gospodarczych.

Zaroi się Poznań podczas swojego Targu od gości przybyłych ze wszystkich stron Państwa i zagranicy. Specjalne pociągi przywiozą kupców z Górnego Śląska, z Warszawy i innych miast. Zjadą na Targ przemysłowcy, kupcy i dziennikarze rumuńscy, zapowiedziana jest również większa wycieczka przemysłowców, kupców i dziennikarzy skandynawskich oraz wycieczka belgijska.

Hale i tereny Targu Poznańskiego zapełnią się chętnymi nabywcami dobrego i taniego towaru polskiego. Oddziały P. K. O., poczty i banków na terenach wystaw ułatwią przeprowadzenie tranzakcji kupieckich. Sensację tegorocznego Targu stanowić będą radjofony, które przed południem gościom zakomunikują najświeższe wiadomości polityczne i giełdowe, a popołudniu urozmaicą czas koncertami.

Aby interesantom i gościom targowym zapewnić wszelkie wygody, zorganizował Urząd Targu, jak corocznie, specjalne biuro kwaterunkowe i informacyjne, które będzie wskazywało mieszkania i udzielało przez swych przedstawicieli w wszystkich budynkach i na wszystkich terenach informacji.

Krótko mówiąc, tegoroczny Targ Poznański świetnością swą przewyższy dotychczasowe Targi, stając się pierwszorzędną imprezą gospodarczą i wyrazem sił żywotnych przemysłu i handlu polskiego oraz kultury gospodarczej Państwa i jego obywateli.

Polska Centrala Handlu Nićmi S. WEGENKO i S-ka

WARSZAWA, KRUCZA № 24. TELEFON 137-17 i 223-70.

WSPÓŁWŁAŚCICIELE GROCHOWSKIEJ FABRYKI NICI



Front magazynu



Gabinet właściciela i biuro

DZIAŁY: I NICI, II BAWEŁNA, III WEŁNA, IV LEN i KONOPIE, V JEDWAB, VI TAŚMA i SZNUROWADŁA.

Egzystująca od szeregu lat firma S. Wegenko i S-ka stała się jedną z najważniejszych placówek handlowych, reprezentujących najważniejsze artykuły norymberskie.

Działy te prowadzone energiczną ręką właściciela p. St. Wegenko, rozwijają się pomyślnie i dzięki zainteresowaniu ogółu firma coraz wydatniejszą rolę w handlu polskim odgrywa.

Przedsiębiorstwo tego rodzaju ma pomyślne widoki jeszcze większego rozwinięcia się, gdyż z jednej strony umożliwia zainteresowanym nabywanie różnorodnych artykułów w jednym źródle, z drugiej — przystępne ceny, szybka i uprzejma obsługa, powodują, iż coraz bardziej powiększa się liczba Odbiorców, a tem samem i zakres działalności firmy.

Jak w każdym roku, tak i teraz firma S Wegenko i S-ka bierze udział w IV Targach Poznańskich, gdzie kupiectwo będzie miało możność ściślejszego nawiązania stosunków handlowych.

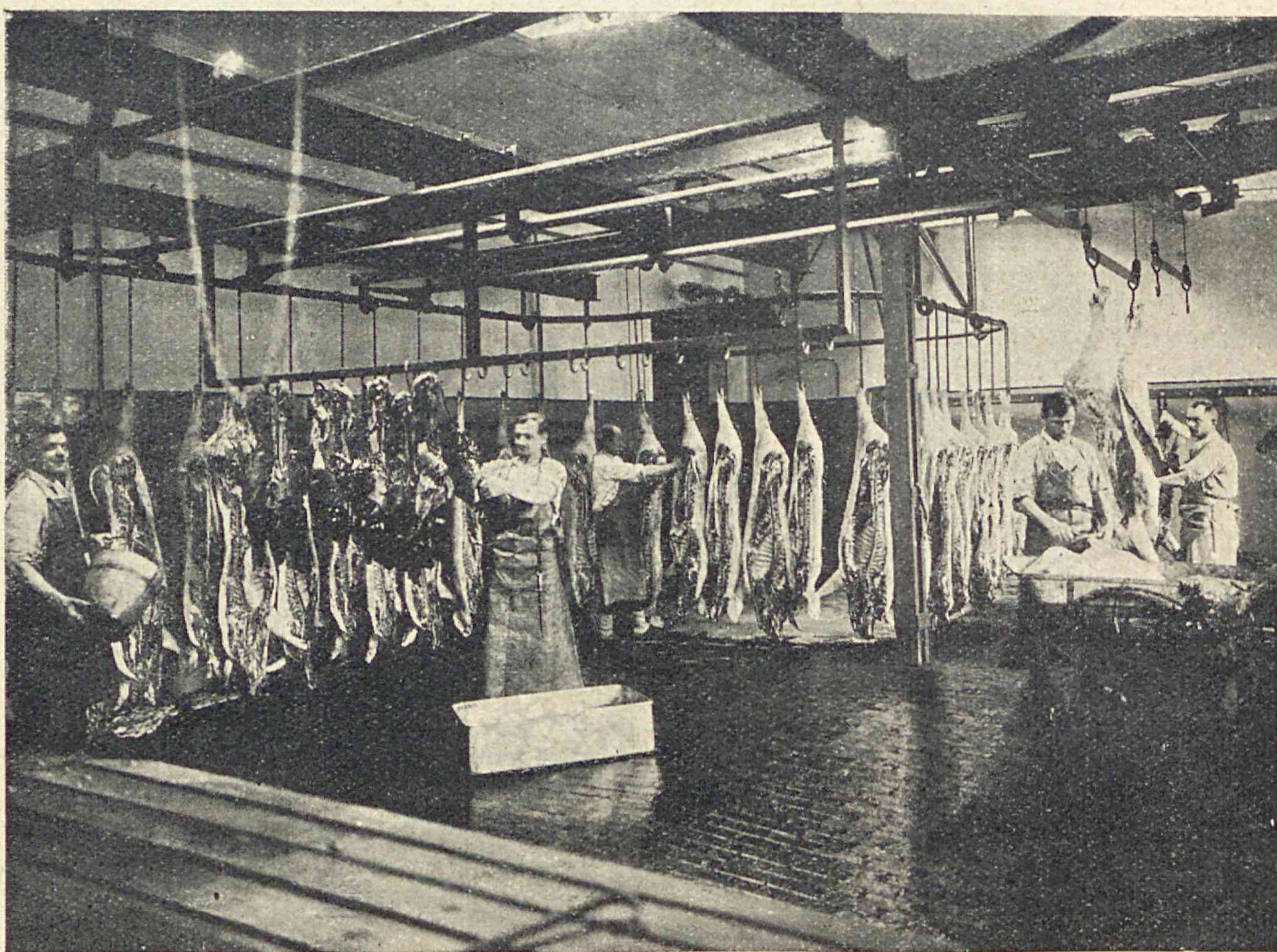
Nie wątpimy, że w przyszłości Polska Centrala Handlu Nićmi zajmie pierwszorzędne stanowisko w handlu polskim, co będzie jeszcze jednym z licznych dowodów sprężystości i inicjatywy naszego młodego kupiectwa.

NOWY PRZEMYSŁ SPOŻYWCZY.

W ostatnich czasach specjalną uwagę zwraca na siebie wzorowo z iście amerykańskim rozmachem prowadzone przedsiębiorstwo p. f. „Śląskie fabryki tłuszczów i margaryny „Silesia" w Rudzie na Górnym Śląsku.

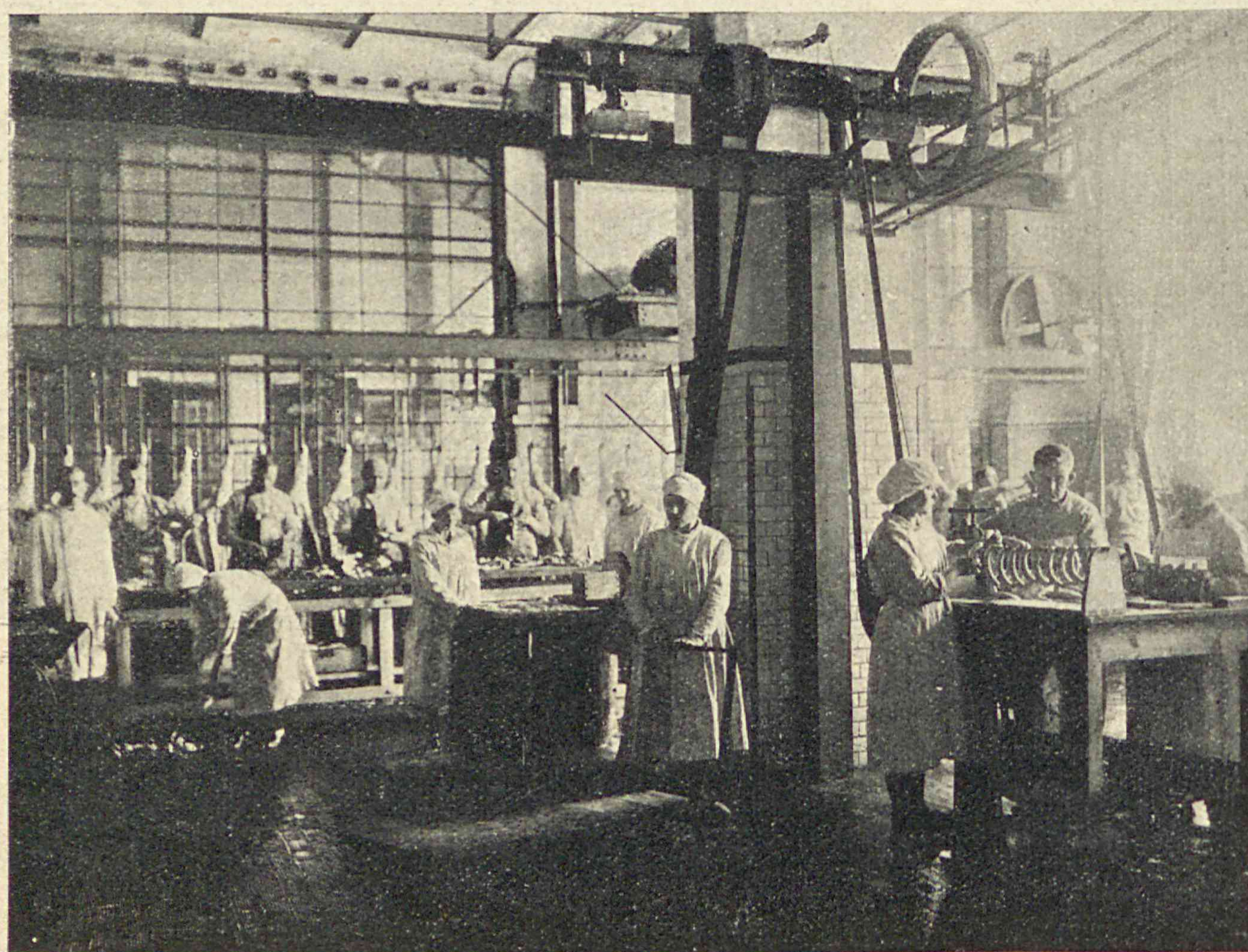
Założone i uruchomione w r. 1922 a w r. 1923 przekształcone na Tow. Akcyjne obecnie znajduje się w pełni rozwoju i zajmie wkrótce przodujące miejsce w kraju.

Niezależnie od dawniej prowadzonego wyrobu margaryny, która zyskała już słuszny rozgłos w kraju, w całym szeregu przystosowanych a także nowowybudowanych pomieszeń, będących ostatnim wyrazem techniki i hygieny, w d. 1 kwietnia r. b. puszczono w ruch wzorową fabrykę wyrobów mięsnych, którą zwiedzamy dzięki uprzejmości p. dyr. Soboty.



Sala gdzie się odbywa ubój trzody chlewnej i bydła.

Najpierw oglądamy rzeźnię, zaopatrzoną w najnowsze maszyny i aparaty umożliwiające dzienny ubój maszynowy conajmniej 100 sztuk trzody chlewnej i 50—60 sztuk bydła rogatego. Z rzeźnią sąsiadują przestronne, jasne, pełne powietrza sale, na których stoją precyzyjne maszyny, przeznaczone do wyrobów mięsnych: 4 maszyny do siekania mięsa, duża ilość młynków do preparowania mięsa na kiełbasy, maszyny do krajania słoniny i maszyna do piłowania kości.



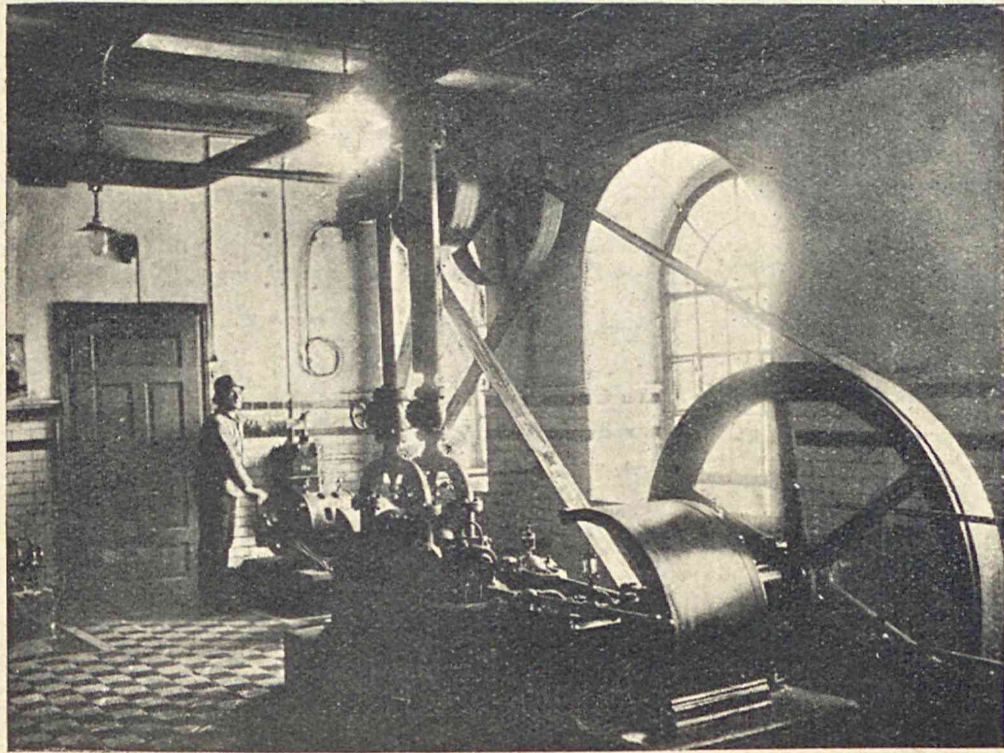
Główna sala przeróbki mięsa, gdzie wytwarzane są „Parówki śląskie",
Fot. Pierzchalski, Katowice.

Godną specjalnej uwagi jest automatyczna maszyna do nadziewania „Parówek Śląskich", która bez jakiejkolwiek pomocy ludzkiej dostarcza codziennie bardzo znaczne ilości gotowego produktu.

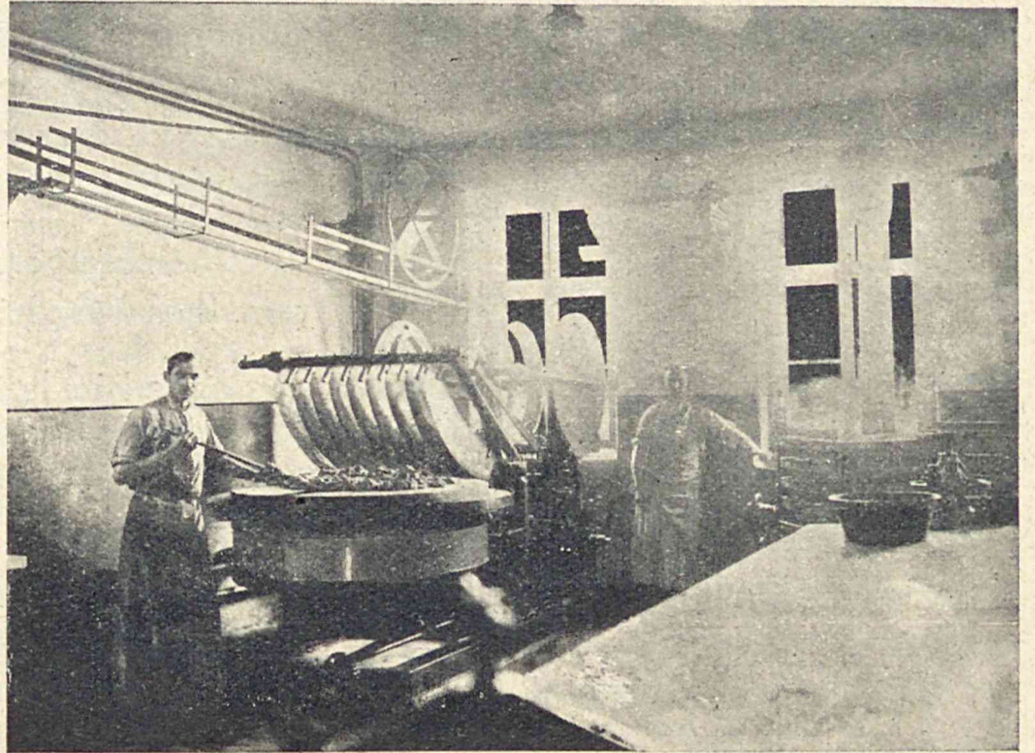
Pośrodku głównej sali widzimy długie stoły do sortowania i siekania mięsa. Z tej sali prowadzą schody do chłodni, peklowni i lodowni, których ściany wyłożone są kaflami. Z sali głównej wchodzimy do wędzarni kiełbasek, które się już ukazały w handlu jako wybitna specjalność firmy p. n. „Parówki Śląskie".

Parówki te przygotowywane masowo na sposób wiedeński, są arty-

NOWY PRZEMYSŁ SPOŻYWCZY.



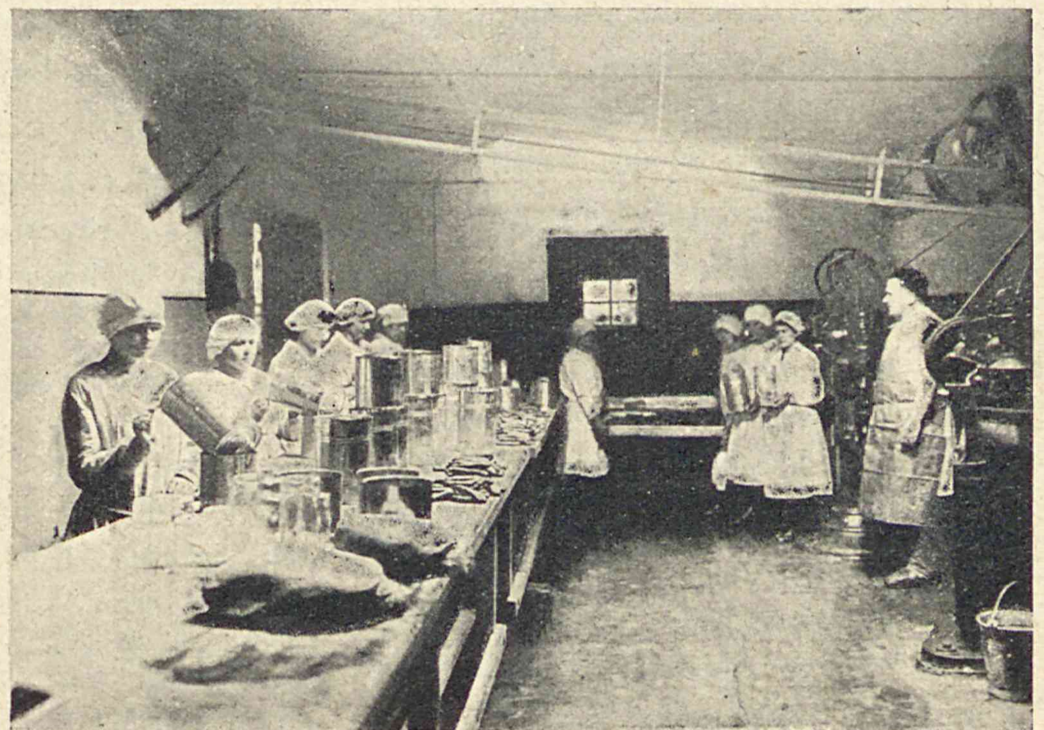
Fragment z sali maszyn do wytwarzania lodu, oświetlenia i dla chłodni,



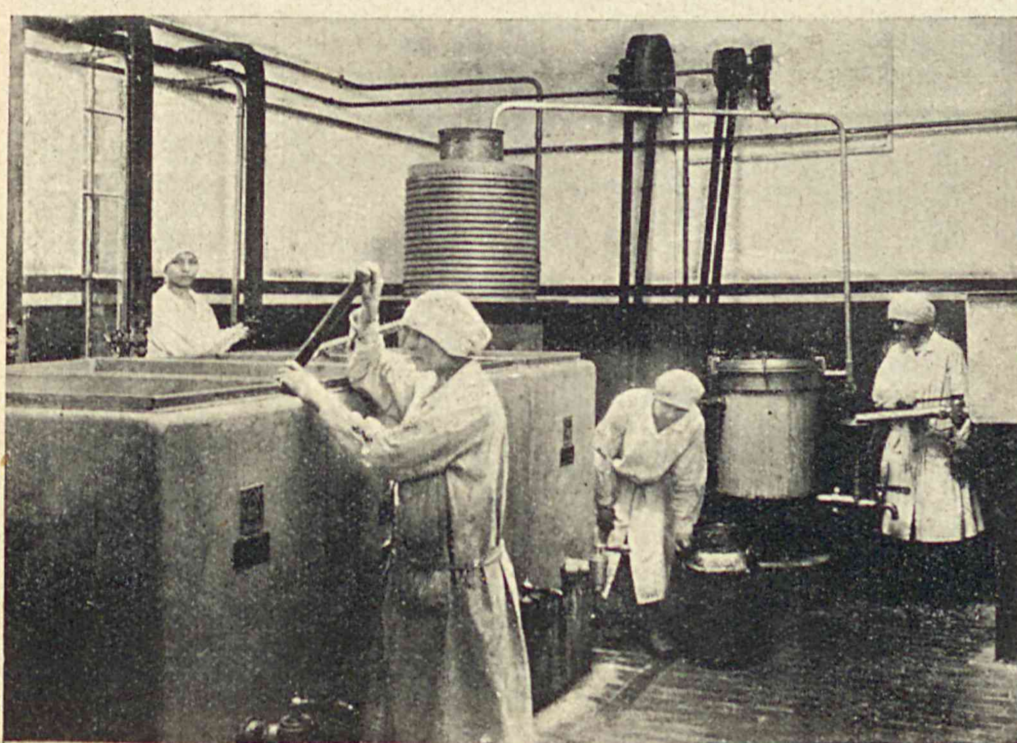
Specjalna olbrzymia maszyna do siekania mięsa na wyrób kiełbas surowych.



Główne biuro fabryki „Silesia" w Rudzie Woj. Śl.



Hygieniczna sortownia i sala do pakowania wszelkich wyrobów m. in. specjalności firmy „Parówek śląskich".



Dział mleczny.



Wielkie podziemne magazyny dla surowców do wyrobu margaryny.
Fot. Pierzchalski, Katowice.

kułem poza wszelką konkurencją. Do tej pory produkcja parówek w kraju nie osięgała jeszcze nigdy takich rozmiarów i żadna wytwórnia ani pod względem doskonałości produktu, wytwarzanego w warunkach wyjątkowo hygienicznych, ani też pod względem wydajności nie może być przyrównaną do zakładów „Silesia", której wyroby w puszkach, oklejonych efektowną barwną etykietą ozdabiają wystawy pierwszorzędnych handlów gastronomicznych i cieszą się wielką popularnością wśród prawdziwych smakoszów.

W dalszej wędrówce po fabryce zwiedzamy zimne wędzarnie oraz oddział zamykania puszek, gdzie w podziw wprawia nas niezwykle szybko działająca maszyna do hermetycznego zamykania puszek. Z sali tej przechodzimy do ubikacji, gdzie się znajdują autoklawy. Tutaj konserwuje się pozamykane już puszki pod ciśnieniem parowem. Opodal widzimy gigantyczne kotły do gotowania kiełbasek.

Podążając za oprowadzającym nas dyr. Sobotą wchodzimy na pierwsze piętro do dużego lokalu, oddziału dla kiełbasy surowej, gdzie się znajduje automatyczna maszyna do krajania mięsa. Maszyna ta jest tak urządzona że podczas ruchu może być w jednej chwili zatrzymana, co wyklucza wszelkie nieszczęśliwe wypadki. Opodal znajduje się pomieszczenie dla przechowania gotowych fabrykatów. Wszelkie ubikacje od chłodni do pierwszego piętra połączone są za pomocą windy. Również według wszelkich nowoczesnych wymagań urządzony jest chlew dla przejściowego lokowania bydła.

Charakteryczną cechą fabryki jest panująca wszędzie wzorowa czystość.

W czasie letnim całokształt fabryki będzie uzupełniony: szatniami, urządzonemi w ten sposób że robotnik złoży swe ubranie codzienne w jednym pokoju a nałoży fabryczne w drugim, łazienką dla robotników i wreszcie kantyną, w której robotnicy będą otrzymywali śniadania po cenach zakupu.

Powstał więc w województwie śląskiem przemysł, którego rozwój ma ogólne wielkie znaczenie. Ta nowa gałęź przemysłu spożywczego, dotąd jeszcze bardzo zaniedbana, ma wręcz nadzwyczajne widoki na przyszłość. Przez umiejętne dostosowanie istniejących już pomieszczeń i udatną budowę nowych stworzony został mocny fundament tak że dalszy rozwój fabryki jest zapewniony.

Przyczynią się do tego niewątpliwie zapasy bydła na ubój różnego rodzaju, którego w Polsce jest bardzo dużo i które to zapasy z roku na rok się powiększają.

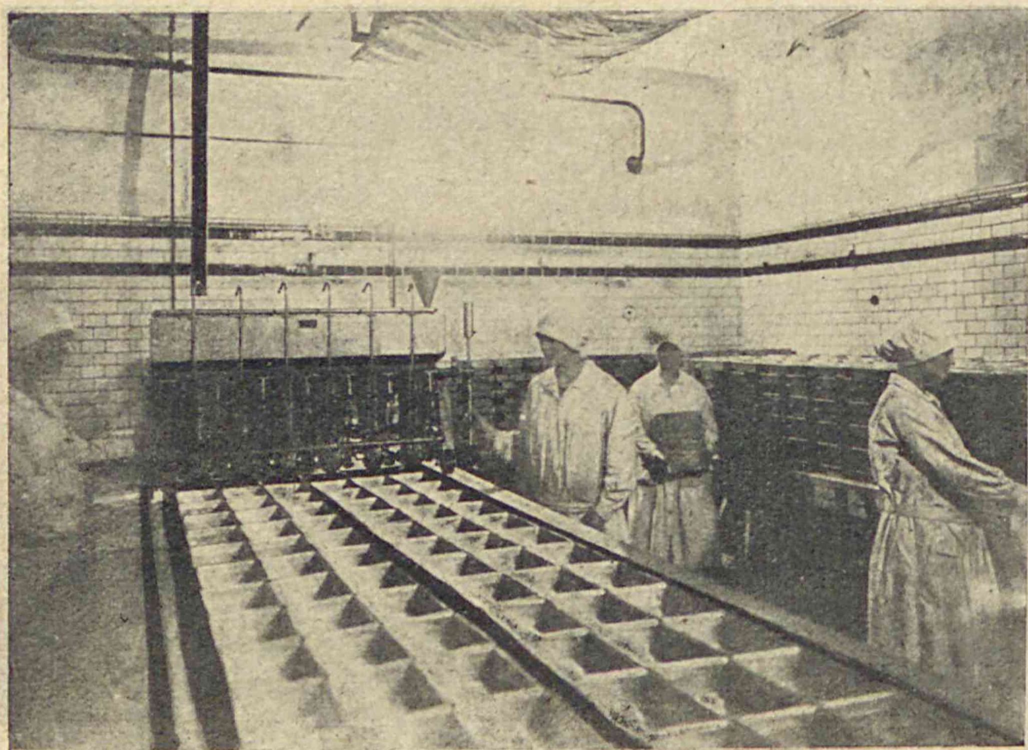
Fabryka została założoną bynajmniej nie po to aby dla tutejszych rzeźników stwarzać konkurencję — celem jej jest zaopatrzenie miejscowego przemysłu w jeden z najpotrzebniejszych artykułów.

* * *

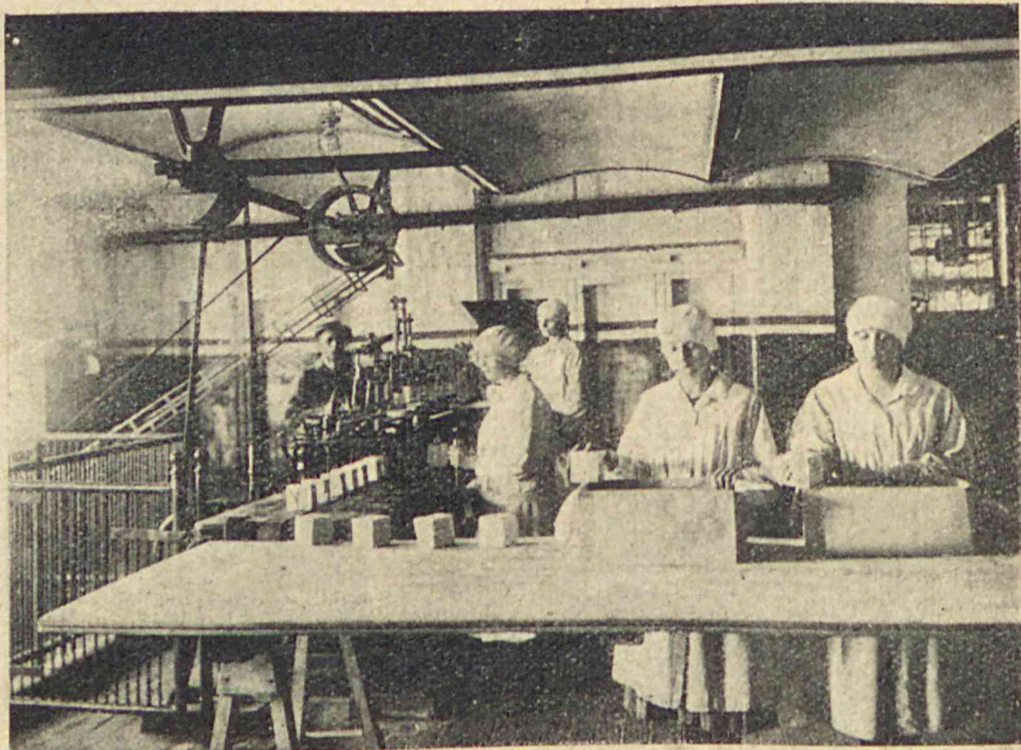
Radę nadzorczą fabryki stanowią Pp. Ficowski, kupiec z Mysłowic, przewodniczący, Dr. Górnik, burmistrz miasta Katowic, Dubiél (Król. Huta) B. Szaflik dyr. Banku Przemysłowców (Katowice), Czapla rejent (Katowice), hr. Oppersdorf (Katowice), Hausdorf kupiec (Katowice), Senator Kowalczyk, prezes Katowickiej Izby Handlowo-Przemysłowej, G. Schmalbach właść. fabryki (Gdańsk), A. Balcer dyrektor (w Wielkich Hajdukach), Albinowski właść. majątku pod Rybnikiem. Zarząd fabryki stanowią Pp. dyr. Stanisław Sobota, dzielny organizator i pracownik na niwie przemysłowej i Jan Arndt, obaj z Katowic.

Opuszczając fabrykę „Silesia" musimy z przyjemnością stwierdzić że może ona nietylko konkurować z tego rodzaju zakładami zagranicznemi ale je nawet pod wieloma względami przewyższa. „Silesia" może śmiało zdobyć miejsce na rynku światowym.

Fabryka poraz pierwszy wystawi swe wyroby na IV-ym Targu Poznańskim w sali artykułów spożywczych na placu Drwęckiego.



Specjalny oddział dla fabr. koszernej komprimy „Silesia".



Automatyczna maszyna do formowania, ważenia i pakowania margaryny „Silesia".

Fot. Pierzchalski, Katowice.

POŻYTECZNA PLACÓWKA POLSKIEGO PRZEMYSŁU.

Fabryka Motorów Ropowych „MOTOR POLSKI" Tow. Akc. w Żninie (Wielkop.).

W ekonomicznej gospodarce Polski odgrywa rolnictwo przeważającą, przodującą rolę. Od wielu wieków było ono właśnieźródłemnarodowego bogactwa, bo wyprodukowane w kraju płody rolne nietylko wystarczały do wyżywienia ludności, ale ogromna pozostająca ich nadwyżka była niezwykle cennym przedmiotem eksportu.

Aż do ostatnich niemal lat gospodarka rolna w Polsce była prowadzona na starą modłę; nowe zdobycze techniki agrarnej, system maszynowy, siła popędowa motorowa była stosowana tylko w nielicznych majątkach, głównie w Wielkopolsce, znacznie mniej w Małopolsce, a prawie zupełnie nie w b. Kongresówce. Rolnicy starszej daty niezbyt dobrze uświadamiali sobie korzyści, jakie daje intensywna gospodarka oparta na zastosowaniu zdobyczy nowoczesnej techniki.

Dopiero ostatnie pokolenie zaczyna rozumieć coraz lepiej znaczenie siły motorowej w gospodarce rolnej, zaczyna rozumieć, że koszt motoru dziesięciokrotnie się wypłaca oszczędnościami, w robociźnie i w taborze koni. To też zwłaszcza od czasów wojny coraz częściej spotyka się w majątkach najrozmaitsze motory używane jako źródło siły do poruszania maszyn rolniczych. Nietylko wielka własność, ale nawet drobni rolnicy spółkową metodą wchodzą powoli na tę drogę. Jest to istotnie jedynie racjonalna droga do intensywnego rozwoju polskiego rolnictwa.

Jaki motor jest w Polsce najbardziej odpowiedni?

Zaborcy we wszystkich trzech dzielnicach naszego kraju nie myśleli bynajmniej o rozwoju jej gospodarki, czy to w przemyśle, czy też w rolnictwie i ograniczali się tylko do tego, co było w ich własnym interesie, a nawet przeciwnie przeciwdziałali wszystkiemu, co mogłoby wytworzyć konkurencję dla ich macierzystych krajów. Dla tego, niewątpliwie, tak słaba jest elektryfikacja naszej Polski, mimo że istnieją wszystkie warunki ku jej rozwojowi, zwłaszcza w Małopolsce, gdzie miljony sił koni drzemią w niewyzyskanych spadach rzek. Bez wątpienia stanie się elektryczność, wytwarzana z „białego węgla", jednym z najważniejszych i najwydatniejszych źródeł siły motorowej w Polsce, lecz nie prędko jeszcze dojdziemy do tej elektryfikacji kraju.

Zanim to nastąpi musimy rozglądać się za innemi źródłami siły motorowej. Jednym z tych źródeł jest przedewszystkiem ropa naftowa, znajdująca się w pewnych okolicach Polski w tak olbrzymich ilościach, że słusznie nazwano te tereny polską Klondyką. Jest to materjał prądowy względnie tani, łatwo dostępny i dogodny do transportu nawet w odległe okolice kraju, koncentrujący w sobie ogromne ilości energji a przedewszystkiem wydobywany w kraju.

Wyzyskanie tych zasobów siły motorowej jest jednak możliwe tylko przy zastosowaniu odpowiednich motorów. Więc wszelkie usiłowania w kierunku zaopatrzenia naszego przemysłu i rolnictwa w motory ropowe muszą być powitane przez szerokie warstwy społeczeństwa z największą życzliwością i zadowoleniem, każda instytucja, dostarczająca odpowiednie motory, staje się placówką polskiego przemysłu o pierwszorzędnym znaczeniu. Takim właśnie pożytecznym przedsiębiorstwem jest znana już dzisiaj szeroko na ziemiach polskich, mimo stosunkowo krótkiego swego istnienia fabryka motorów ropowych „Motor Polski" Tow. Akc. w Żninie. Fabryka powstała w roku 1920 z inicjatywy p. Kazimierza Urbańskiego, przy współudziale p. E Wielgosińskiego. Jako siedzibę wybrano miasto powiatowe Żnin w Wielkopolsce, odległe od Bydgoszczy o 40 kilometrów. Stacja kolejowa znajduje się na miejscu, co ułatwia dowóz potrzebnych materjałów i wywóz gotowej produkcji fabryki.

Fabryka motorów ropowych dla Przemysłu i Rolnictwa pod firmą „Motor Polski" Tow. Akc w Żninie mieści się na własnym terenie, obejmującym około 3-ch morgów obszaru, w nowo pobudowanych i dostosowanych do wymogów współczesnej techniki budynkach. Własne motory, dostarczają siły popędowej, oświetlenie elektryczne pochodzi również z własnej elektrowni fabryki.

Jak potrzebne było w Polsce przedsiębiorstwo tego rodzaju, dowodzi fakt, że w ciągu niewielu lat z tego istnienia fabryka rozwinęła się niesłychanie szybko i ledwie mogła nastarczyć zapotrzebowaniom, napływającym z wszystkich stron Polski. To właśnie skłoniło właścicieli fabryki do przekształcenia jej na Towarzystwo Akcyjne. W pracy tej spotkali się byli właściciele z życzliwem i wydatnem poparciem Panów: Mieczysława Chłapowskiego, obywatela ziemskiego inż. Bronisława Brukwickiego, obywatela ziemskiego i inż. Zygmunta Kittla, dyr. cukrowni w Żninie. W dniu 11 kwietnia 1920 roku fabryka na mocy aktu rejentalnego przemieniła się z Tow. z ogr. poręką na Tow. Akc. „Motor Polski". Zmiana ta umożliwiła rozszerzenie wytwórczości i oparła przedsiębiorstwo na nowych mocnych podstawach.

Specjalnością fabryki jest — jak już powiedziano budowa motorów ropowych dla potrzeb przemysłu i rolnictwa, o sile od 5 do 10 K. M. Jest to typ najbardziej dostosowany do warunków polskich i dzięki temu znajdujący szerokie rozpowszechnienie. O dobroci i użyteczności motorów fabryki w Żninie najlepiej świadczy fakt, że w tej chwili w przemyśle i rolnictwie pracuje z powodzeniem z górą 100 motorów, wyprodukowanych w fabryce. Między innemi motory fabryki w Żninie znajdują się w następujących majątkach: w Sobiejuchach dwa motory, w Swiątkowie trzy motory, w Obudnie jeden motor, w Brzyskorzystawce jeden motor i t d.

Na pierwszej wystawie rolniczo-przemysłowej w Poznaniu fabryka motorów ropowych w Żninie została odznaczona srebrnym medalem za solidną i sprawną pracę motorów. Wyroby fabryki cieszą się powodzeniem nietylko w jednej Wielopolsce: przeciwnie fabryka otrzymuje liczne zamówienia i z innnch stron kraju, a co więcej otrzymuje też wyrazy uznania i podziękowania za dobroć dostarczanych motorów.

Fabryka zatrudnia obecnie70 ciu robotników i pozostaje pod głównym zarządem założyciela p. Kazimierza Urbańskiego. Zaznaczyć trzeba. że Zarząd fabryki nie zapomina o doli swych pracowników i poświęca jej wiele troski. Na terenie fabrycznym wzniesiono specjalny budynek mieszkalny dla robotników, w którym kilkanaście rodzin znalazło pomieszczenie.

W najbliższej przyszłości, po przewalutowaniu majątku, Zarząd fabryki zamierza powiększyć znacznie kapitał akcyjny, a tem samem powiększyć także produkcje, licząc się z tem, że zapotrzebowanie motorów się z miesiąca na miesiąc wzrasta Zaspokojenie tych potrzeb wymaga dalszej rozbudowy przedsiębiorstwa.

NAJNOWSZE MODY.



Modele kostjumów, płaszczy i kapeluszy wiosennych.

Amerykańska propaganda na rzecz instytutu im. Tadeusza Kościuszki.

Kolonja polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wzięła sobie gorąco do serca sprawę instytutu naukowo-badawczego im. Tadeusza Kościuszki. Instytut ten ma powstać w Warszawie. Teren jego studjów jest w ścisłym związku z obroną granic naszych, zagwarantowanych przez Traktaty Wersalski i Ryski. Na czele Komitetu zbiórki stanął ks. dr. Wł. Chrzanowski. Stworzono 47 komitetów lokalnych. Kampania rozpoczęła się w d. 15 października 1923 r. i skończyła się w d. 1 stycznia r. b. Urządzono cały szereg bali, maskarad, zabaw, które przyniosły poważny dochód. Przeważnie jednak dokonywano zbiórki, wydając pamiątkowe certyfikaty. Kto wpłacił dolara — mógł już otrzymać także zaświadczenie, będące cenną pamiątką. Z racji tej wydano też estetycznie wyglądającą broszurę pt. „Czyń a zwyciężysz". Na czele tej broszury umieszczono winietę, przedstawiającą skrzydlatego husarza. W książeczce tej znalazły się liczne odezwy i artykuły agitujące na rzecz zbiórki, programy zabaw, wykazy przedmiotów ofiarowanych na loterję oraz dano przegląd firm przemysłowych bankierskich, rzemieślniczych, adwokackich i lekarskich polskich. I z tego względu broszura ta jest ciekawa.

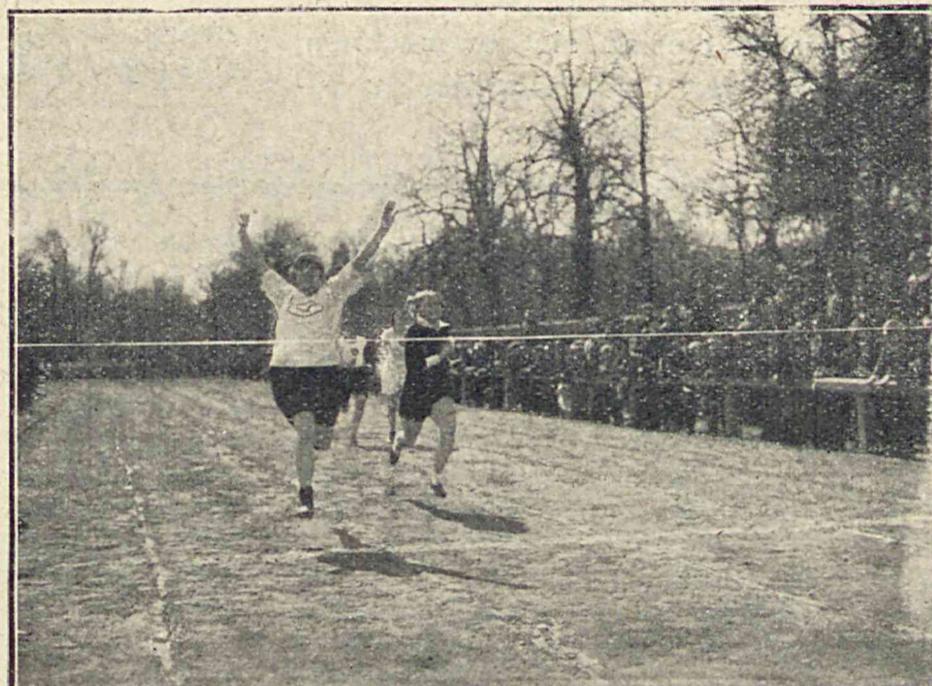
Zawody lekko-atletyczne dn. 13 kwietnia r. b. w Warszawie.


Bieg na 5000 metr. 1) Szelestowski (Polonja).


Cejzik (Polonja) w rzucie kulą.


Bieg na 200 mtr.

Fot. Wacław Rokosz.


Bieg pań na 60 mtr. 1) Sadkowska (Sokół) 8,6 sek.

Pierwszy prezes Banku Polskiego.


Stanisław Karpiński, zasłużony działacz na polu społecznem, długoletni kierownik Banku Kooperatyw, b. minister skarbu, senator, został mianowany dekretem Prezydenta Rzplitej prezesem Banku Polskiego.

Nitsche i S-ka.

Fabryka maszyn rolniczych w Poznaniu. Istniejąca od lat 14 fabryka, stanowiąca własność i kierowana przez energicznych zawodowców branży maszyn rolniczych, braci Franciszka i Piotra Nitsche, przetrwała ciężkie lata wojny i niewoli, pokonywując szereg trudności, jakie polskiej placówce przemysłu stawiali zaborcy i dzięki niezmordowanej energji i pracy właścicieli, produktami swemi konkurowała z wyrobami niemieckiemi. Po odzyskaniu niepodległości Polski, fabryka szybko dostosowała się do zmienionych warunków i potrzeb gospodarczych i w korzystniejszej już sytuacji rozwijała się i specjalizowała, stając w szeregu najpoważniejszych fabryk maszyn rolniczych w kraju i wzmacniając przemysł rodzimy. To też szybko wyroby fabryki dotarły do najdalszych zakątków Polski, zyskując powszechne uznanie.

Fabryka zajmująca teren ok. 18.000 m. kw. z własną bocznicą kolejową, zatrudnia ok. 300 pracowników. Prócz pokrywania wewnętrznego zapotrzebowania, firma nawiązała stosunki handlowe z zagranicą, eksportując swe wyroby do Rumunji i państw bałtyckich. Poza działem wytwórczym firma prowadzi dział handlowy, bogato zaopatrzony we wszelkie maszyny krajowe i zagraniczne dla rolnictwa i przemysłu, reprezentując między innemi znaną fabrykę Heinrich Lanz w Mannheimie, — lokomobile i motory przemysłowe, motory-traktory, młocarnie, garnitury parowe i motorowe. Na pierwszej wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Poznaniu firma została nagrodzona medalem złotym.





W. Grąbczewski, znany artysta operowy, który przed dwoma miesiącami obchodził jubileusz 30-lecia pracy scenicznej, odtwórca wielu pierwszorzędnych ról z repertuaru barytonowego, wieloletni reżyser opery warszawskiej, zmarł w d. 19 b. m. Jako śpiewak, cieszył się powszechnem uznaniem krytyki i powodzeniem u publiczności.



Eleonora Duse, znakomita tragiczka włoska, zbierała laury sceniczne na wielu scenach zagranicznych, słynna ze swojej popisowej roli w „Damie kameljowej", zmarła w 70 roku życia. Jeszcze w roku bieżącym święciła trjumfy na występach w New-Yorku.



Edmund Gasiński, jeden z najświetniejszych artystów w lekkim repertuarze komedji i farsy, długoletni filar teatrów warszawskich, zmarł w 63 r. życia w d. 20 b. m. po krótkiej, ciężkiej chorobie. Pozostawia po sobie szczery żal wśród szerokich rzesz wielbicieli swojego talentu. Niedawno święcił jubileusz 40-lecia pracy teatralnej. Zamieściliśmy wtedy dłuższy artykuł omawiający zalety gry i rodzaj talentu ś. p. Ed. Gasińskiego.

Nowe Wydawnictwa.

GŁOS PROF. ILESIC'A O PRACY J. KUCHARZEWSKIEGO OD „BIAŁEGO DO CZERWONEGO CARATU".

Znana książka prof. Jana Kucharzewskiego „od Białego do Czerwonego Caratu" i wśród serbów i chorwatów wywołała żywe zainteresowanie. Dowodem tego jest ogłoszone w „Jugosłavenskiej Njivie" z d. 15 stycznia r. b. obszerne studjum prof. F. Ilesic'a pt. „Od Beloga do crvenog carata". Profesor Ilesić jest bardzo poważanym slawistą i znawcą piśmiennictwa polskiego. Wielokrotnie na łamach prasy jugosłowiańskiej dawał wyraz swoim sympatjom dla naszej ojczyzny i szerzył kult dla wielkich naszych poetów. Studjum jego o książce Kucharzewskiego ma na celu poinformowanie ogółu jugosłowiańskiej inteligencji, będącej pod urokiem rosyjskim, o faktycznem obliczu psychiki i polityki moskiewskiej. Przed wojną Rosja uchodziła w Serbji za możną obrończynię praw słowian południowych. Po wojnie ten mit wcale nie osłabł. Przeciwnie, wzmógł się nawet wskutek olbrzymiej ilości uchodźców rosjan, którzy w Serbji otrzymali prawo azylu. Propaganda pro-rosyjska siłą rzeczy działa na szkodę interesów ploskich. Serbowie, chorwaci nie znają Polski. Ideały nasze i nasze zasoby cywilizacyjne, gospodarcze, naukowe są dla nich krainą mirażu. Rosjanie korzystają z tego na każdym kroku. Prof Ilesić przez studjum o książce Kucharzewskiego pokazuje właściwe oblicze polipa panrosyjskiego, głoszącego hasła słowiańskie w celu zniwelowania ludów pobratymczych. Rosja carska czy Rosja bolszewicka mają jeden tylko cel: to... „zbieranie ziem rosyjskich". Apetyt nienasycony polityki zaborczej Rosji poznała Polska na sobie. Apetyt ten odczuły dobrze i inne ludy. Prof. Fr. Ilesić nawołuje więc do zapoznania się z tendencjami państwowemi Rosji przez książkę Kucharzewskiego. Dzieło to wyjaśnia również wiele enigmatów w psychologji rosjanina, jak twierdzi autor tego studjum.

Książka prof. J. Kucharzewskiego przez studjum Fr. Ilesić'a spełnia swoją rolę informacyjną wśród jugosłowian. Byłoby dobrze, gdyby przełożono ją na języki: serbski, bułgarski i czeski. Materjał historyczny, stanowiący treść tego dzieła, jest murowany.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

RZĄD POLSKI.

P. Prezydent Rzeczypospolitej spędził święta wielkanocne w Spale, goszcząc premjera Grabskiego i ks. arcybiskupa Cieplaka.

Umowę o sprzedaż wyrębów w Białowieży podpisał rząd z przedsiębiorcami angielskimi na 10 lat. Racjonalna eksploatacja zapewniona, a dochód państwa będzie bardzo pokaźny. Znowu dobry interes.

Akt założenia Banku Polskiego zmienił się w wielką manifestację na cześć premjera i ministra skarbu p. Grabskiego. Nareszcie stanęła Polska na mocnych nogach finansowych.

Wybory do Rady Nadzorczej Banku Polskiego rząd unieważnił częściowo, uważając, że skład Rady nie reprezentuje należycie interesów wszystkich sfer społecznych, które uczestniczyły w stworzeniu Banku.

SPRAWY POLSKIE.

Najżyczliwsze traktowanie wychodźców polskich przyrzeka rząd francuski w trakcie rokowań z polskimi delegatami. Również sprawa szkolnictwa będzie załatwiona pomyślnie.

Litewskie rządy w Kłajpedzie są coraz gorsze. Koleje zrujnowane, bezrobocie się szerzy, brak pieniędzy. W dodatku rząd gwałci prawa konstytucyjne.

Pożyczka polska we Włoszech została pokryta jedenastokrotnie. Świadczy to, że Polska cieszy się za granicą coraz lepszą opinją.

Nową agitację przeciw Polsce rozpoczęli komuniści, rozszerzając kłamliwe odezwy, w których oskarżają nas o gnębienie klasy pracującej i narodowych mniejszości. Wątpliwe, czy znajdą wiarę.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Dopuszczenie Niemiec do Ligi Narodów zalecił Mac Donald, twierdząc, że przyspieszy to odbudowę Europy. Francja nie podziela tej opinji i nie zamierza rezygnować ze swych słusznych pretensji.

Sprawa imigracji japońskiej do Ameryki wywołała wewnętrzny konflikt w Stanach Zjednoczonych. Prezydent Coolidge oraz ogromny odłam społeczeństwa występują przeciw antijapońskiej uchwale senatu.

Komisja odszkodowań zakończyła swe prace. Teraz Niemcy muszą wykazać dobrą wolę i chęć pracy. W sprawie Ruhry Francja zachowuje sobie jeszcze ostatnie słowo.

RÓŻNE.

Olbrzymie trzęsienie ziemi zanotowały wszystkie aparaty sejsmograficzne świata. Kraje zamieszkałe prawie nic nie ucierpiały, a ofiarą padło, jak się zdaje, tylko dno oceanu.

SPROSTOWANIE.

W ogłoszeniu Biuro Techniczne J. Jarecki i A. Buki w № 13 „Świata" mylnie zostało wydrukowane słowo *dostawę* winno być *dostarcza*.

„Prawo karne”.

Prace komisji kodyfikacyjnej nad prawem karnem są w pełnym toku. Należy się spodziewać, iż niebawem państwo polskie otrzyma opracowany i skodyfikowany zbiór praw, mających autorytatywną jednolitą wartość na wszystkich ziemiach. Dotychczas przecież sądy różnych dzielnic posługują się prawem karnem dawnych zaborców. Prof. Juljusz Makarewicz napisał źródłową, jasną księgę p. t. „Prawo karne“, która powinna spełnić podwójną rolę. Może służyć, jako podręcznik dla słuchaczy prawa. Ułatwia też prawnikowi polskiemu możliwość szybkiej orjentacji w przepisach ustaw dzielnicowych.

Jeszcze jeden wzgląd czyni książkę prof. J. Makarewicza niezbędną: trzeba, aby ogół polskich prawników zaznajomił się zgóry i zawczasu z przewodniemi myślami projektu Komisji Kodyfikacyjnej, z rolą, jaką odgrywają jego przepisy na tle ogólnego rozwoju ustawodawstwa karnego. W książce prof. J. Makarewicza i na to położono specjalny nacisk. Jak słusznie twierdzi autor, „wówczas niejedno, co przy odczytywaniu postanowienia projektu wydać się może niezwykłem prawnikowi, przyzwyczajonemu do myślenia kategorjami ustawodawstwa mu najbliższego, uzyska zrozumienie i uznanie“.

Podręcznik „Prawa karnego“ musi być szczególnie polecony do celów pedagogicznych. Został wydany przez Towarzystwo nauczycieli szkół średnich i wyższych p. t. „Książnica Polska“.



SPORTY ZIMOWE.

— Niech sobie mówią, co chcą: to jest najprzyjemniejszy sport zimowy!



— Moja złota Kasiu, jak przyjdzie ten strażak, pozwól, że ja pierwszy usiądę mu na kolana!

(London Opinion).

TAKŻE ARGUMENT.



— Błagam cię, najdroższa, wyjdź za mnie. Wszak wiesz, że dzisiaj coraz mniej jest kandydatów do małżeństwa.

— Istotnie, to jedno może pana polecać.

HUMOR i SATYRA.

— Dlaczegoż się nie pobieracie?
— Kochamy się platonicznie.
— Czemuż to?
— Bo ja jestem urzędnikiem państwowym, a ona nie ma posagu...

* * *

— Cóż ten twój nowy wielbiciel?
— Ma niepospolite zdolności hypnotyzerskie?...
— Gdy tylko zaczyna do mnie mówić — zasypiam.

* * *

Między żonami dramaturgów.
— Mój mąż pisze cztery sztuki na konkurs. Co miesiąc wykończa jeden akt.
— O, mój mąż czyni to znacznie prędzej! Niema dnia, żeby mi nie zrobił sceny.

* * *

U piekarza.
— Panie pryncypale, wszystko tanieje, możebyśmy znizyli ceny bułek?
— Nie można tak gwałtownie. Narazie zmniejszymy objętość bułek. Niech to wystarczy.

* * *

— Andziu, tak młoda i przyzwoita panienka, jak ty, nie powinna wogóle oglądać się na ulicy za mężczyznami, a ty to czynisz co chwila.
— Ależ, mamusiu, ja się tylko odwracam, aby się przekonać, czy oni za mną się oglądają.

* * *

— Bardzo proszę, panie szefie, o urlop na dziś popołudniu. Mam pogrzeb ciotki...
— Jak to się źle składa, pięknie panno Marysiu, mam właśnie taki ważny list do podyktowania na maszynę.
— Ostatecznie mogę zatelefonować, że nie przyjdę... Ale jutro już mi pan szef chyba nie odmówi, bardzo, bardzo proszę...

Risus

Odp. Red-wydawca ST. KRZYWOSZEWSKI

Druk Galewski i Dau, Warszawa.

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
II „	135.—	68.—	34.—	17.—	9.—
III „	135.—	68.—	34.—	17.—	9.—
IV „	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
W tekście	250.—	125.—	63.—	32.—	18.—
Przed romansem	200.—	100.—	50.—	25.—	15.—

STRONA OPISOWA: Złp. 250. —FOTOGR. I KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty; KRON. TOWARZ. I KOMUNIKATY za 1 m/m 50 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 80 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Tel.: Administr. 504-00, Ekspedycja 47-25.
Konto czekowe P. K. O. № 3755.
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.)
W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81.
księgarnia „Czytaj" Dzielna 2 Filja Katowice Górnicza 13 skrz. poczt. 211.
CENA PRENUMERATY w Warszawie mies. Mk. 6.500.000—kw. 19.500.000 z odnoszeniem do domu mies. Mk 6.750.000 — kw. 20.250.000, na prowincji mies. 7.500.000—kw. 22.500.000.
Zagranicą podwójnie. Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA